

# Peggy Moreland

*W pogoni za marzeniem*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Rory Tanner z desperacją przyglądał się wystawie swojego sklepu, którego huczne otwarcie miało się odbyć już za kilka dni.

- Chciałem, żeby to wyglądało jak korral - tłumaczył stojącej obok niego kobiecie. - Rozumiesz? Po prostu jak jeden róg korralu. Ogrodzenie ze słupków i żerdzi. Tu i tam kilka kaktusów, może czaszka krowy dla podkreślenia kolorytu. A co ja tu teraz mam? - spytał z goryczą, wskazując manekiny. - Stadko umrzyków. Od ich widoku przechodzą mnie ciarki. Wyrzuć to paskudztwo! Niech ubrania zwieszają się z sufitu. Przymocuj je żyłką wędkarską albo czymś takim. Możesz nawet zawiesić je na ścianie. I buty. Mnóstwo kowbojskich butów. Postaw je na kopach siana, na skałce, na podłodze, bo teraz to nie wygląda prawdziwie. Brakuje dramatyzmu! I koloru! A tak chciałem, żeby wystawa rzucała się w oczy, żeby przechodzień miał wrażenie, że ktoś go złapał za kark i ciągnie do sklepu.

Popatrzył na kobietę. Szybko zapełniała strony notesu.

- Rozumiesz teraz, co chcę uzyskać?

- Tak, chyba tak. - Zmarszczyła czoło. - Chociaż nie sądzę, żebym mogła to zrobić w tak krótkim czasie, jaki pozostał do otwarcia.

Rory uśmiechnął się, objął ją za ramiona i przyciągnął do siebie.

- Jesteś najlepszą dekoratorką wystaw w całym stanie. Uda ci się. Pomyśl tylko. To jest sklep w moim rodzinnym mieście. I dlatego musi być najlepszy w całej sieci. Nie chcę, by mówiono, że Rory Tanner robi coś na pół gwizdka. Przecież chodzi o honor rodziny!

Szybko ją uściskał, bo już myślał o następnej sprawie do załatwienia.

- Hej, Jim! - zawołał do stolarza stojącego na wysokiej drabinie przy fasadzie sklepu. - Niech ten szyld wisi równo! Ludzie nie mogą przekrzywiać szyi, próbując przeczytać napis.

Jim zachichotał, uniósł rękę, dając do zrozumienia, że usłyszał uwagę, i wrócił do przyśrubowywania szyldu z napisem: „Wyposażenie kowbojskie Tannera”.

- Don, pomoc ci w czymś? - spytał Rory mężczyznę, który spawał żelazne rurki.

Don znużonym ruchem podniósł wizjer kasku.

- Tak, przydałaby mi się jeszcze jedna para rąk. Gus dziś nie przyszedł. Pewnie odsypia wczorajsze pijaństwo. Weź tylko kask z samochodu.

Rory, który tak samo dobrze posługiwał się aparatem do spawania jak lassem, poszedł po kask, wziął naręcze rurek i zabrał się do roboty. Wkrótce obaj mężczyźni wpadli we wspólny rytm i ogrodzenie rosło w oczach. W końcu Don powiedział, że musi wziąć nową butlę z gazem.

Rory, spocony jak mysz, zdjął kask. Wytarł czoło i rozejrzał się. Pierś napęczniała mu z dumy. To będzie jego największy sklep. Klejnot w koronie. I słusznie, bo tu jest

jego dom, jego miasto. Mnóstwo ludzi pytało go, kiedy wreszcie otworzy sklep również w Tanner's Crossing. Ale do niedawna to było ostatnie miejsce, w którym chciałby przebywać na stałe.

Jednak gdy umarł ich ojciec, bracia Tannerowie zaczęli powoli dryfować z powrotem do domu, znów stawali się rodziną. Ash przyjechał pierwszy. Jako najstarszy, został wykonawcą testamentu ojca. Ustanowił sobie bazę na rodzinnym ranczu, zaopiekował się osieroconą również przez matkę córeczką ojca. Potem ożenił się z Maggie i zaadoptowali dziecko.

Reese wrócił do domu ostatni. Ożenił się i podjął pracę w miejscowym szpitalu jako chirurg. I teraz był szczęśliwy, o wiele szczęśliwszy niż kiedyś. A to szczęście dała mu jego nowa żona, Kayla.

Między powrotem Asha i Reese'a ożenił się Woodrow. Wziął za żonę lekarzkę z Dallas. Nie mógł lepiej trafić. Teraz już tylko Whit i on sam pozostawali w stanie kawalerskim. Rory nie wiedział, co planuje Whit, ale on na razie nie zamierzał niczego zmieniać. Może nawet nigdy. Za bardzo lubił kobiety, by zadowolić się tylko jedną.

A skoro już o tym mowa, jeżeli kobieta, która właśnie nadjeżdżała dżipem cherokee, miała w sobie choć gram kobiecości, dobrze to ukrywała.

Bawełniany kombinezon - męski, zdaniem Rory'ego - nie pozwalał odgadnąć kragłości jej figury. A co za fryzura! Wyglądała tak, jakby obcięto jej włosy nożycami do strzyżenia owiec. Wynikiem były sterczące na wszystkie strony rozjaśnione słońcem blond pasma, które niecierpliwym gestem odgarnęła do tyłu, gdy patrzyła na szyld, który Jim

właśnie skończył mocować. Lotnicze okulary przesłaniały jej oczy i sporą część twarzy, ale to, co można było zobaczyć, dawało pewną nadzieję. Wysokie kości policzkowe. Delikatny nosek, jak u wróżki. I pełne, wilgotne usta.

Wpatrując się w te usta, Rory ruszył do niej, by odegrać rolę gospodarza.

- Siemasz! - zawołał i uśmiechnął się gościnnie. - Jeszcze nie otworzyliśmy, ale jeżeli chcesz zwiedzić sklep, chętnie cię oprowadzę.

Przyjrzała mu się uważnie.

- Nie, dziękuję. Zobaczyłam szyld i miałam nadzieję, że zastanę tu Tannera.

Coś w jej tonie powiedziało Rory'emu, że to nie jest towarzyska wizyta. Zaczął się mieć na baczności.

- W Tanner's Crossing mieszka kilku Tannerów. Z którym chcesz się zobaczyć?

- Z Buckiem. Znasz go?

Słyszając imię ojca, Rory aż się wzdrygnął, ale zdołał zachować obojętną minę.

- Tak. Znam.

Rozejrzała się, jakby się spodziewała, że Buck zaraz skądś się wyłoni.

- Jest tutaj?

- Nie. - Spojrzał na nią podejrzliwie. - A po co chcesz się z nim widzieć?

Zdjęła okulary i spiorunowała go wzrokiem.

- Nie twoja sprawa.

Usiłował nie pokazać po sobie złości.

- No więc, przykro mi, że muszę ci to powiedzieć, ale stary Buck nie żyje.

Krew odpłynęła jej z twarzy.

- Nie żyje? Kiedy umarł?

- Zeszłej jesieni. Na atak serca. - Strzelił palcami. - Ot tak. Nagle.

- On nie mógł umrzeć. Ja... - Zaciśnięła usta i odwróciła wzrok.

Rory mógłby przysiąc, że zanim z powrotem nałożyła okulary, zobaczył w jej oczach lśnienie łez. Niepewny, co powiedzieć, milczał.

- Mówiłeś, że mieszkają tu też inni Tannerowie - odezwała się po krótkiej chwili. - Czy są z nim spokrewnieni?

- Tak. Ma czterech synów, przybranego syna i małą córeczkę, której już nie zdążył zobaczyć.

- Muszę z nimi porozmawiać. Gdzie mogę ich znaleźć?

- Na rodzinnym ranczu. Jakies piętnaście kilometrów od miasta.

- Możesz mi podać adres?

- Mógłbym - powiedział i zaraz pokręcił głową. - Ale to ci nic nie da. Ranczo jest ogrodzone i dobrze strzeżone. Łatwiej dostać się do Fort Knox niż tam.

Wilgotne usta, które tak podziwiał, zaciśnęły się w wąską kreskę.

- No ale chyba istnieje jakiś sposób skontaktowania się z nimi. Mają przynajmniej telefon?

- Zastrzeżony. - Zaczekał chwilę, a gdy się nie odezwała, dodał: - Ale jeżeli aż tak bardzo ci zależy na spotkaniu z nimi, mógłbym ci to ułatwić.

- Długo to potrwa?

Rory podrapał się po brodzie.

- Trudno powiedzieć. Jest ich całkiem sporo. Będę potrzebował trochę czasu, żeby wszystkich zebrać w jednym miejscu. Jeżeli zatrzymałaś się w hotelu, zobaczę, co da się zrobić, i zadzwonię do ciebie.

Otworzyła drzwi auta i sięgnęła do środka. Gdy znów się wyprostowała, trzymała notes i długopis.

- Nie zatrzymałam się w hotelu - powiedziała, zapisując coś. - Mam przyczepę, zaparkowaną na południowym krańcu miasta. - Wyrwała kartkę z notesu i podała mu. - To numer mojego telefonu komórkowego.

Rory popatrzył na kartkę.

- Masz jakieś nazwisko? - spytał, usiłując opanować irytację.

- Keller - rzuciła, wsiadając do dżipa. - Macy Keller.

Ledwo za autem opadł kurz, a Rory już wielkimi krokami szedł do swojego pikapa po telefon komórkowy. Najpierw zadzwonił do Asha, który był głową rodziny, więc zasługiwał na tę uprzejmość, a poza tym mieszkał najdalej.

- Szykują nam się kłopoty - powiedział, gdy tylko usłyszał głos brata.

- Znów?

Rory ze złością przeczesał palcami mokre od potu włosy.

- Tak. Przyjechała tu pewna kobieta. Do sklepu. Zatrzymała się, bo zobaczyła szyld z nazwiskiem „Tanner”. Powiedziała, że szuka Bucka.

- A mówiła, czego chce?

- Powiedziała, że to nie moja sprawa. Poinformowałem ją, że Buck zmarł zeszłej jesieni. Nie uznałem za

stosownie przedstawić się. Nie podobało mi się jej zachowanie. Poza tym pomyślałem, że cokolwiek ma do powiedzenia Buckowi, lepiej żeby od razu powiedziała to nam wszystkim.

- Cholera! - parsknął Ash.

- Mam takie same odczucia. Zaproponowałem, że skontaktuję się z rodziną i zorganizuję spotkanie. Wiem, że to dość niespodziewane, ale czy mógłbyś dziś wieczorem przyjechać na ranczo? Im szybciej dowiemy się, czego ona chce, tym lepiej.

- Słusznie. Rozmawiałeś już z pozostałymi?

- Nie. Najpierw zadzwoniłem do ciebie.

- Więc zadzwoń do nich i powiedz, że będę na ranczu o ósmej. Zdam, jeżeli od razu wyjadę.

- Dobrze - odparł Rory i przerwał połączenie.

Wyciągnął z kieszeni kartkę z telefonem Macy Keller, żeby zadzwonić do niej i poinformować o spotkaniu, ale zaraz się rozmyślił. Przecież mówił jej, że zebranie rodziny w jednym miejscu musi trochę potrwać. Zaczeka kilka godzin, zanim ją powiadomi. Inaczej mogłaby stać się podejrzliwa i zaczęłaby zadawać za dużo pytań.

Chichocząc schował kartkę z powrotem do kieszeni. A dzwoniąc, nie powie, jak się nazywa. Chce stać z nią twarzą w twarz w chwili, gdy odkryje, kim on naprawdę jest. Chce zobaczyć jej minę, gdy sobie uświadomi, że człowiek, który zorganizował spotkanie z Tannerami, to Rory Tanner, najmłodszy syn Bucka.

Przejeżdżając przez bramę, Rory spojrzał we wsteczne lusterko, by się upewnić, że dżip nadal za nim jedzie. Sam



nie wiedział, czy odczuwa ulgę, czy też irytację, gdy okazało się, że Macy Keller się nie zgubiła.

Nalegała, że pojedzie własnym samochodem. Parsknął ze złością. Słaba szansa, by chciał ją uwodzić. Już z dwójgą złego wolałby raczej trzymać w ramionach trujący bluszcz.

Jednak musiał przyznać, że teraz Macy wyglądała trochę lepiej niż po południu. Zamiast kombinezonu miała na sobie luźne lniane spodnie i również luźną bluzkę bez rękawów, więc nadal nie wiedział, jaką ma figurę. Zauważył tylko, że Bóg, tworząc piersi, jej ich poskapił.

Podjeżdżając do domu, sprawdził, czyje samochody już tu stoją. Z ulgą stwierdził, że stawili się wszyscy bracia. Zaparkował obok auta żony Woodrowa, zaczekał, aż Macy do niego dołączy, gestem zaprosił ją do wejścia i otworzył drzwi, nie fatygując się pukaniem.

- Wszystko w porządku - powiedział, widząc jej zdziwione spojrzenie. - Oczekują nas.

Szybko poprowadził ją do gabinetu. Gdy weszli, gwar rozmów natychmiast umilkł.

- Przedstawiam wam Macy Keller - powiedział. - A to Tannerowie. Ash, najstarszy, siedzi za biurkiem. Ta śliczna kobieta stojąca obok niego to Maggie, jego żona. I córeczka Laura, która - tak się składa - jest również córką Bucka.

Widząc, że nie zrozumiała, wzruszył ramionami.

- To długa historia. Ale na razie powiem tylko, że Ash i Maggie adoptowali Laurę po śmierci Bucka. - Wskazał ręką w kierunku kanapy. - Ten wielki brzydal to Woodrow, a obok niego siedzi jego żona, doktor Elizabeth Tanner. Koło Elizabeth widzisz Kaylę, najnowszy nabytek

w rodzinie, a obok niej jej męża, doktora Reese'a Tannera, drugiego w kolejności starszeństwa. - Machnął ręką w kierunku mężczyzny stojącego przy ścianie. - A ten wilk samotnik to Whit. Jest naszym przyrodnim bratem i lubi myśleć, że bardzo się od nas różni, ale w tym się myli. Jest Tannerem, tak samo jak my.

- My? - wydukała Macy.

Właśnie na tę chwilę czekał Rory. Już z góry ciesząc się wrażeniem, jakie wywrze, uśmiechnął się i podał Macy rękę.

- Jestem Rory Tanner. Najmłodszy syn Bucka.

Założyła ręce na piersi, żeby nie podać mu ręki.

- Mogłeś mi powiedzieć, kim jesteś - powiedziała przez zęby.

- Mogłem, oczywiście - przyznał i uśmiechnął się jeszcze radośniej. - Ale nie pytałaś, prawda? - Wskazał ręką krzesło. - Proszę, usiądź.

- Nie, dziękuję - warknęła. - To nie zajmie dużo czasu. - Podeszła do biurka, wyjęła z workowatej torebki kopertę i rzuciła ją na blat. - Chciałam to oddać Buckowi. Ale skoro jest pan jego najstarszym synem, przypuszczam, że to właśnie pan jest również wykonawcą testamentu.

Ash wziął kopertę i uniósł ją pod światło. Zobaczywszy, co w niej jest, zmarszczył czoło.

- Wygląda na czek.

- Tak - potwierdziła. - Czek bankierski na siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów.

Ash odchylił się w krześle i spojrzał na nią.

- Czy mogłaby pani podać jakieś wyjaśnienie?

- Zwracam wam te pieniądze.

- Przykro mi, ale musi pani powiedzieć nam coś więcej. Zaintrygowany tym niespodziewanym obrotem sprawy, Rory usiadł, nie spuszczać wzroku z pleców Macy. Stała wsparta pięściami pod boki, spięta do ostateczności.

- Buck ustanowił dla mnie fundusz powierniczy - powiedziała. - A teraz zwracam wam te pieniądze.

- To dobry początek, ale chcielibyśmy usłyszeć całą historię.

- Co dokładnie chcecie wiedzieć? - warknęła przez zęby.

Ash rzucił kopertę na biurko.

- Wszystko. Może pani zacznie od powodu, dla którego Buck uznał za stosowne ustanowić ten fundusz.

- Zrobił to, bo myślał, że jest moim ojcem.

- Myślał? - zdumiał się Ash.

Skinęła głową.

- A dlaczego tak myślał, jeżeli to nieprawda?

- Bo moja matka powiedziała mu, że nosi jego dziecko.

- Pani matka skłamała?

Macy zacisnęła zęby.

- Tak - syknęła.

- A pani wiedziała, że to nieprawda?

- Nie. Cały czas myślałam, że Buck jest moim ojcem.

- A kiedy dowiedziała się pani, że jednak nie?

- Kilka miesięcy temu. Matka mi powiedziała. Chyba chciała oczyścić sumienie. - Macy spuściła głowę i zasłoniła ręką twarz. - Umierała.

- Ten fundusz ustanowiony przez Bucka... - kontynuował Ash. - Wydawała pani z niego pieniądze, zanim się pani dowiedziała, że Buck nie jest pani ojcem?

Spiorunowała go wzrokiem.

- A co to ma do rzeczy? Oddaję wam pieniądze, prawda?  
 - Jeżeli je przyjmiemy - poinformował ją.  
 - Dlaczego mielibyście ich nie przyjąć?! Należały do Bucka, a on dał mi je pod przymusem. Chcę wam je oddać. Tak będzie uczciwie.

- Niezależnie od powodów - kontynuował Ash z uporem - Buck czuł się zobowiązany do ustanowienia dla pani funduszu powierniczego. - Popchnął kopertę w kierunku Macy. - Ma pani prawo do tych pieniędzy. Nie są ani moje, ani moich braci.

Macy założyła ręce za plecy i cofnęła się o krok.

- Nie. Specjalnie tu przyjechałam, żeby je oddać. Jeśli o mnie chodzi, sprawa jest teraz czysta.

- Ale...

Podniosła rękę, nakazując mu, by zamilkł.

- To nie są moje pieniądze. Są wasze. Wy jesteście Tannerami, a ja nie.

Zanim ktokolwiek mógł ją zatrzymać, odwróciła się, wyszła z pokoju i zaraz usłyszeli trzask frontowych drzwi.

Przez chwilę w gabinecie panowała dzwoniąca w uszach cisza.

Ash wziął kopertę do ręki.

- I co teraz z tym zrobimy? - spytał, marszcząc czoło.

Woodrow wypuścił powietrze, które do tej pory przetrzymywał w płucach.

- Dziwaczna sprawa - powiedział i spojrzał po braciach. - Ale wygląda na to, że udało nam się wyjść cało z tej potyczki.

Ash uderzył kopertą w otwartą dłoń.

- Nie wydaje mi się, żeby na tym się skończyło.

- Co masz na myśli? - spytał Woodrow. - Ta kobieta przyznała, że Buck nie był jej ojcem. Oddała pieniądze z funduszu i uciekła, nie prosząc o nic. Powinniśmy dziękować losowi, że nie zażądała swojej części spadku. Bo mogłaby to zrobić.

- Tak - zgodził się Ash. Rzucił kopertę na biurko i dodał ponuro: -I to najbardziej mnie martwi. Dlaczego tego nie zrobiła?

Rory rozejrzał się po obecnych i zobaczył, że wszyscy mają te same wątpliwości.

- Może jest uczciwa? Może usiłowała naprawić zło?

Ash przeciągnął ręką po włosach i pokręcił głową.

- Może. A jeżeli nie o to jej chodziło? Jeżeli zaplanowała sobie coś innego? Może skłamała, mówiąc o tym, co matka wyznała na łożu śmierci. Może oddaje siedemdziesiąt pięć tysięcy, bo zamierza zażądać więcej?

- Nie ma sensu wychodzić naprzeciw kłopotom - powiedział Reese. - Kłopoty mają to do siebie, że same cię znajdują. A już zwłaszcza wtedy, gdy nazywasz się Tanner.

- Lepiej się przygotować, niż czekać, aż na ciebie nieoczekiwanie spadną - zauważył Ash.

Maggie położyła mu rękę na ramieniu.

- Myślę, że Ash ma rację. Zastanówcie się. Która kobieta, zdrowa na umyśle, dobrowolnie oddawałaby siedemdziesiąt pięć tysięcy, o których nikt nawet nie wiedział?

- Uczciwa? - zasugerował Rory.

- A skąd możesz wiedzieć, czy ta kobieta jest uczciwa?  
- mruknął Ash.

Rory pochylił się w krześle.

- Do diabła! Tego nikt nie może wiedzieć - rzucił ze złością. - Pojawiła się znikąd w moim sklepie!

- Gdy wychodziła, wydawało mi się, że płacze - powiedziała Elizabeth.

- Płakała?

- Elizabeth skinęła głową.

- Przysięgłabym, że gdy koło mnie przebiegała, widziałam w jej oczach łzy.

Rory wybiegł z pokoju, jakby go ktoś gonił, i popędził na dwór. Ale zobaczył już tylko tylne światła dzipa Macy. Ze zmarszczonym czołem wrócił do gabinetu.

- Za późno - poinformował. - Pojechała.

- Powiedziała, gdzie mieszka? - spytał Ash.

- Nie jest specjalnie gadatliwa - westchnął Rory siadając. - Wiem tylko, że ma przyczepę na parkingu na południowym krańcu miasta.

- Jeżeli stanęła na parkingu, chyba zamierza tu zostać przez jakiś czas. - Ash w zamyśleniu wydał usta. - Uważam, że powinniśmy mieć ją na oku. Zobaczyć, co dalej zrobi.

- A jak chcesz to przeprowadzić?

- Któryś z nas musi się z nią zaprzyjaźnić - wyjaśnił mu Ash. - Dowiedzieć się, czy zamierza się tu kręcić, a jeżeli tak, to w jakim celu.

- I komu byś zlecił zabawę w gończego psa? - spytał sucho Rory. Gdy Ash bez słowa na niego spojrział, Rory rozejrzał się po pokoju i zobaczył, że oczy wszystkich obecnych są w niego wlepione. Zerwał się z krzesła. - Nie ma mowy! Nie będę szpiegował kobiety.

- Nikt nie mówi, że masz ją szpiegować - uspokajał

go Ash. - Prosimy cię tylko, żebyś się z nią zaprzyjaźnił. Dowiedział się, jakie ma plany.

- Dlaczego ja? - jęknął Rory. - Dlaczego nie któryś z was?

Ash uniósł rękę.

- Bo to najlogiczniejszy wybór. Przez cały czas jesteś w mieście.

- Reese też.

- Reese ma żonę. Ludzie by gadali.

- A Whit? On nie jest żonaty. - Rory rozpaczliwie próbował znaleźć jakąś alternatywę.

Whit oderwał się od ściany, twarz miał blada.

- Och, nie. Ash, proszę cię. Wiesz, jak źle mi idzie z kobietami. Ze wstydu nie będę potrafił się do niej odezwać. Ona mnie zamęczy.

Rory wiedział, że Whit mówi prawdę.

- To niesprawiedliwe - poskarżył się.

Woodrow z uśmiechem szturchnął go butem.

- Od kiedy to uwodzenie kobiet jest dla ciebie taką pańszczyzną?

- Ale w Macy Keller nie ma nic kobiecego - mruknął Rory ponuro. Wcisnął kapelusz na głowę. - Nie rozumiem, dlaczego gdy tylko jest do załatwienia coś nieprzyjemnego, od razu zlecacie to mnie - żalił się, idąc do drzwi. Tam odwrócił się jeszcze i pogroził braciom palcem. - Ale pamiętajcie: gdy przyjdzie czas odpłaty, nie będziecie z siebie tacy zadowoleni.

Przygryzając usta, żeby się nie uśmiechnąć, Ash podszedł do niego i podał mu czek.

- Prosimy cię tylko, żebyś jej to oddał - powiedział

i poklepał go po plecach. - Wierzę w ciebie, bracie. Potrafisz to załatwić.

- Tak, tak - mruknął Rory. - Mówisz tak tylko dlatego, że zawsze dajesz mi zadanie, którego nikt inny by nie wziął.

Macy pędziła po drodze, wzbijając kłęby kurzu. Chciała jak najszybciej oddalić się od rancza Tannerów. Nie mogła uwierzyć, że próbowali ją zmusić do zatrzymania pieniędzy. Zwariowali? A może są po prostu masochistami, którzy lubią patrzeć, jak ktoś cierpi?

Czuła się taka upokorzona. Zmusili ją, by opowiedziała im całą tę wstydliwą historię, a potem odmówili przyjęcia pieniędzy. A tylko oddając je, mogła oczyścić swoje sumienie.

Ale gdy pomyślała o kowboju, który obiecał zorganizować spotkanie z Tannerami, jej uczucie upokorzenia przeszło w furję. Skłamał. Nawet z nią flirtował. I nie uznał za stosowne powiedzieć, że jest synem Bucka Tannera. I na dodatek oszukiwanie jej sprawiło mu wielką przyjemność! Widziała obłudny uśmiech na jego twarzy, gdy podał jej rękę i przedstawił się jako „Rory Tanner, najmłodszy syn Bucka”.

W oczach zakreśliły jej się łzy. Rory miał to, czego ona tak bardzo pragnęła, o czym marzyła od lat. Oni wszyscy to mieli. Mieli nazwisko Tanner. Ale te wszystkie lata, kiedy jej największym marzeniem było nosić to nazwisko, nie zdały się na nic. Nie pochodziła z Tannerów.

I nie wiedziała, kim jest.



## ROZDZIAŁ DRUGI

Ash mimo usilnych prób nie mógł dodzwonić się do Rory'ego. Telefon komórkowy Rory'ego identyfikował dzwoniącą osobę, i Rory nie przyjmował połączenia. Bo wiedział, czego chce jego brat. Dzwonił, żeby sprawdzić, czy już się czegoś dowiedział, upewnić się, że nawiązał kontakt z Macy.

Ale Rory nic jeszcze nie zrobił. Bo właściwie co miałby jej powiedzieć? Cześć, tu Rory. Ten, który wczoraj zrobił sobie z ciebie pośmiewisko. Dzwonię, żeby spytać, czy planujesz wyciąć Tannerom jakąś sztuczkę.

Parsknął ze złością. Przecież i tak mu nie powie, co trzyma dla nich w zanadrzu.

Westchnął ciężko. Jednak zadanie zostało przydzielone jemu, i musi się z tego wywiązać.

Wolałby zażyć wielką dawkę rycyny, niż próbować zaprzyjaźnić się z Macy. Jego zdaniem ta kobieta miała skórę jak jeżozwierz, a charakter niedźwiedzia grizzly. Czyli dwie cechy, których mężczyzna obdarzony choćby odrobiną rozumu unikałby jak ognia. I chociaż uważał siebie za wytrawnego flirciarza, a w repertuarze miał setki sposobów na uwodzenie kobiet, wiedział, że z tą jego umiejętności nie zdadzą się na nic.

No, ale mimo wszystko musi do niej jechać. Wsiadł do

pikapa i ruszył. Zdażył zaledwie przejechać zakręt, gdy przed biblioteką zobaczył jej zakurzonego dżipa. Szybko zaparkował na wolnym miejscu i czekał, ciekawy, co Macy tu robi.

Zdażył się porządnie zniecierpliwic, zanim drzwi biblioteki otworzyły się i Macy wyszła na światło słoneczne. Zatrzymała się, nałożyła ciemne okulary, a potem zaczęła schodzić po schodach. Skulone ramiona świadczyły o zniechęceniu. Zdziwił się. Co mogło ją przygnębić w bibliotece? Odmówiono jej wydania karty? Oczywiście nie jest mieszkanką Tanner's Crossing, ale gdyby chciała coś na miejscu przeczytać, bibliotekarka, panna Mamie, na pewno by jej pozwoliła.

Macy była w połowie schodów, gdy Rory uświadomił sobie, że jeżeli się nie pospieszy, straci przewagę zaskoczenia, której potrzebował, by ją przygwoździć. Szybko wyskoczył z samochodu, podbiegł do dżipa i przysiadł na masce.

- Macy, miło cię widzieć - wycedził.

Słyszając jego głos, rozejrzała się, a gdy go zauważyła, zacisnęła z irytacji usta.

- Siedzisz na moim dżipie.

Obejrzał się, jakby chciał sprawdzić, czy rzeczywiście tak jest.

- Owszem.

Machnęła niecierpliwie ręką.

- Nie udawaj niewiniątka. Czego chcesz?

- Od życia w ogóle? - Założył jej za ucho luźne pasmo włosów. Gdy napotkał jej wzrok, uśmiechnął się zmysłowo. - Czy też od tak seksownej kobiety jak ty?

Uderzyła go w rękę.

- Daj spokój, Romeo. Takie zabójcze gierki nie robią na mnie wrażenia.

- Och, bo jeszcze pomyślę, że mnie nie lubisz.

Odwróciła się i pomaszerowała do drzwi samochodu.

- I miałbyś rację.

Zeskoczył z maski i poszedł za nią.

- Jak możesz mnie nie lubić? Nawet mnie nie znasz.

Wyciągnęła kluczyki i otworzyła samochód.

- Nie muszę. Wystarczy, że wiem, do jakiego rodzaju mężczyzn należysz.

Położył płasko rękę na drzwiach, by nie mogła ich otworzyć.

- A do jakiego rodzaju mnie zaliczasz?

Westchnęła ze złością i odwróciła się na pięcie, by spojrzeć mu w oczy.

- Do kobieciarzy.

Ale Rory, zamiast się odsunąć, czego najwyraźniej się spodziewała, oparł się o drzwi, skrzyżował nogi w kostkach i tak stał, w przyjaznej, zrelaksowanej pozie.

- Dziwne. Bo na ogół kobiety nie potrafią mi się oprzeć.

- Naprawdę? - Udała zdziwienie. - No więc ja uważam, że jesteś niesympatyczny i fałszywy. Masz małe szanse, żebym cię polubiła, więc przestań marnować czas swój i mój i zejdz mi z drogi.

Z żalem pokręcił głową.

- A ja zamierzałem zaprosić cię na obiad.

- Prędeż umrę z głodu niż pójdę z tobą.

Uniósł w niedowierzaniu brew.

- Może jednak zanim zdecydujesz, posłuchaj, gdzie zamierzałem cię zabrać. Chciałem z tobą iść do Baru „U Bubby” - kontynuował, nie dając jej czasu na powiedzenie, że miejsce nie ma znaczenia. - Bubba to tutejsza legenda. Ma metr osiemdziesiąt, waży sto pięćdziesiąt kilo i podaje najlepszą pieczeń w tej części kraju. Wędzoną w pekanowym dymie - dodał. - To już tradycja w rodzinie Bubby. Mieszkają w Tanner's Crossing prawie tak długo jak sami Tannerowie i zawsze mieli taką czy inną restaurację. Przeważnie barbecue. Ludzie są skłonni przejechać dziesiątki kilometrów, by zjeść u Bubby. Stolik trzeba rezerwować na miesiące naprzód. - Rory chwilę polerował paznokcie o front koszuli, a potem z zadowoleniem je obejrzał. - Oczywiście są też tacy, którzy nie muszą sobie rezerwować miejsca.

Macy skrzyżowała ręce na piersi i spojrzała na niego ze znudzeniem.

- I, jak przypuszczam, ty do nich należysz.

Uśmiechnął się dumnie.

- Słusznie. Bubba i ja znamy się od zawsze. W dzieciństwie razem chodziliśmy na polowania. Wystarczy, że zadzwonię, i zatrzyma dla nas najlepszą łóżę, tę, która ma okno z widokiem na rzekę Lampasas. - Popatrzył na Macy tak, jakby chciał jej powiedzieć coś bardzo ważnego. - A musisz wiedzieć, że na całym świecie nie ma piękniejszego widoku niż Lampasas o zachodzie słońca. Chyba nie chcesz stracić okazji do podziwiania czegoś tak pięknego?

- Co za szkoda, że muszę się bez tego obejść. A teraz, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałabym już jechać. Mam wiele spraw do załatwienia.

- Widzę, że postanowiłaś złamać mi serce.
- Przejęłabym się tym, gdybym przypuszczała, że w ogóle je masz.

Rory skulił się i złapał za pierś.

- Mam nadzieję, że umiesz udzielać pierwszej pomocy - jęknął. - Bo właśnie zadałaś druzgoczący cios temu sercu.

- Nie sercu - sprostowała sucho. - Ucierpiało tylko twoje ego.

Rory wyprostował się.

- Co z tobą? Ja tylko staram się być miły.
- Dlaczego?

Zdesperowany, wyrzucił w górę rękę.

- Czy facet musi mieć jakieś powody, żeby być miłym dla kobiety?

Gdy na niego bez słowa spojrzała, ciężko westchnął. Będzie musiał sięgnąć do najgłębszych pokładów cierpliwości, by jakoś się z nią porozumieć.

- Słuchaj. Nie znamy się, ale powiedziałaś nam, że coś łączyło twoją matkę i mojego ojca. Ja teraz po prostu wyciągam do ciebie rękę, proponując przyjaźń. Z szacunku dla naszych zmarłych rodziców.

- Cokolwiek łączyło naszych rodziców, skończyło się całe lata temu i absolutnie nie ma nic wspólnego z którymkolwiek z nas. Oddałam wam pieniądze, które waz ojciec mi dał, więc nie ma o czym więcej rozmawiać.

- To się jeszcze zobaczy.
- A co to niby miało znaczyć? - spytała ostro.
- To znaczy - odparł, starając się utrzymać złość na wodzy - że jeżeli jedynym powodem, dla którego przyje-

chałaś do Tanner's Crossing, był zwrot pieniędzy, powinnaś była już wyjechać. Ale nadal tu jesteś.

- Chociaż to nie twoja sprawa - rzuciła cierpko - powiem ci, że przyjechałam tu nie tylko po to, aby wam oddać pieniądze. Jeszcze dwa miesiące temu byłam pewna, że Buck Tanner był moim ojcem. A teraz, gdy wiem, że to nieprawda, zamierzam się dowiedzieć, kto nim był. - Odepchnęła go ze złością, otworzyła drzwi dżipa i wsiadła. - I czy ci się to podoba, czy nie, zostanę w Tanner's Crossing, póki się tego nie dowiem.

- Aha. - Złapał drzwi, zanim Macy zdążyła je zatrzasnąć. - Mówisz, że nie wiesz, kto był twoim ojcem?

- Dokładnie to powiedziałam - warknęła. - A teraz, jeśli pozwolisz...

Szarpnęła drzwi, ale Rory uparcie je przytrzymał. W oczach kręciły jej się łzy. Jednak był pewny, że w jego obecności nie pozwoli im popłynąć.

- Mówiłaś, że twoja matka umarła - powiedział, próbując uporządkować sobie w głowie wszystkie fakty, jakie znał. - Tak więc ona najwyraźniej albo nie chciała, żebyś się dowiedziała, kto naprawdę jest twoim ojcem, albo umarła, zanim zdążyła ci powiedzieć. - Spojrzył na Macy, by sprawdzić, który z jego domysłów jest słuszny. I znalazł odpowiedź w jej oczach. - Nie chciała, żebyś się dowiedziała - stwierdził, widząc źle maskowany ból.

Odwróciła głowę i wsunęła klucz do stacyjki.

- Dobra robota, panie Sherlocku. A teraz, jeśli nie chcesz stracić ręki, puść drzwi.

Ale Rory tylko przysunął się jeszcze bliżej.

- Właśnie po to poszłaś do biblioteki, prawda? Szuka-

łaś jakichś wskazówek na temat swojego ojca. Pewnie przeglądałaś stare gazety w nadziei, że będzie tam coś o twojej matce?

- Przestań udawać detektywa - warknęła. - Ale powiem ci, że niestety moja matka nie należała do tego rodzaju kobiet, o których pisze się w kolumnach towarzyskich.

- A rozmawiałaś z rodzeństwem? Może im coś powiedziała?

- Nie mam rodzeństwa. Matka w ogóle nie chciała mieć dzieci. Mnie też nie chciała.

- Więc co teraz zrobisz?

Macy zacisnęła ręce na kierownicy.

- Sprawdzę w archiwach hrabstwa. Porozmawiam z ludźmi. Może ktoś coś będzie wiedział.

- Nie licz na to, że ktoś w Tanner's Crossing udzieli ci informacji.

- Dlaczego?

- To małe miasteczko. Ludzie tu żyją ze sobą blisko, chronią się nawzajem. Jeżeli ktoś obcy zacznie zadawać pytania na temat przeszłości... - Uniósł ręce, jakby reszta była oczywista. - Nic ci nie powiedzą.

W tej chwili Rory uzmysłowił sobie, że właśnie znalazł pretekst, by pozostać z Macy w kontakcie.

- Mógłbym ci pomóc - zaproponował. - Jestem Tannerem. Tu się wychowałem. Ludzie mi ufają. Już samo nazwisko otwiera drzwi, które dla ciebie zostałyby zamknięte.

Macy przez chwilę ze zmarszczonym czołem rozważała jego propozycję. A potem pchnęła drzwi tak, że poleciał do tyłu.

- Spryciarz z ciebie, mój Romeo. Ale ja nie potrzebuję ani nie chcę od ciebie pomocy.

Rory przycisnął dzwoniący telefon do ucha.

- Tak, Ash, rozmawiałem z nią - powiedział bez wstępów.

- Skąd wiesz, że to ja?

Rory pokazał kierowcy z firmy kurierskiej, by postawił pudła obok drzwi.

- Postrzeganie nadnaturalne - wyjaśnił, szybko policzył pudła i nabazgrał swoje nazwisko na fakturze. - A ponieważ mam takie nadprzyrodzone umiejętności, wiem również, po co dzwonicz, i odpowiedź brzmi: tak. Rozmawiałem z Macy. Powiedziała, że zostaje w mieście po to, by dowiedzieć się, kto naprawdę był jej ojcem.

- Wierzysz jej?

- Jesteś obrzydliwie podejrzliwy.

- Ostrożny - sprostował Ash. - Kiedy się ma do czynienia z kimś związanym z naszym ojcem, należy zachować wielką ostrożność.

Przeczesał ręką włosy, Rory usiadł na jednym z pudeł.

- Masz rację.

- Tak więc nadal nie spuścisz jej z oka, prawda?

- A czy mam jakiś wybór?

- Nie.

- Rory ciężko westchnął.

- No więc sam widzisz.

Macy skrzyżowała ręce na kierownicy i oparła na nich głowę. Od dwóch dni przekopywała się przez archiwa



i próbowała rozmawiać z ludźmi, ale nic nie osiągnęła. Nic.

Podniosła głowę i ponuro zapatrzyła się na widok przed sobą. Rory Tanner miał rację. Obywatele Tanner's Crossing nie wyjawiają obcej osobie żadnej tajemnicy dotyczącej swoich współmieszkańców. Potrzebuje pomocy.

Niestety jedyną osobą, którą może o to poprosić, jest Rory. A ona wolałaby zjeść brukselkę, niż prosić go o cokolwiek. Może i jest przystojny jak gwiazdor filmowy, ale nawet jeżeli w pierwszej chwili jej się spodobał, minęło to, jak ręką odjął, gdy nie pofatygował się, by jej powiedzieć, że należy do rodziny Tannerów. I to oszustwo sprawiło mu wielką radość. Jeszcze teraz widziała złośliwy błysk w jego oczach, gdy wyciągał rękę i mówił: „Jestem Rory Tanner, najmłodszy syn Bucka”, upokarzając ją przed całą swoją rodziną.

Ale, z drugiej strony, jednak zaproponował pomoc. A ona odrzuciła tę propozycję.

Gwałtownym ruchem przekręciła kluczyk. Pojedzie do niego. Była pewna, że teraz, po tym, jak go potraktowała, nie będzie chciał jej pomagać. Jednak nie miała wyboru. Jeżeli to będzie konieczne, na kolanach będzie go błagała, żeby zmienił zdanie.

Zaparkowała na parkingu obok sklepu. Wszędzie walały się palety z murawą, niedaleko zauważyła z dziesięć długich rzędów roślin w donicach, a wszystko to wędło pod gorącym południowym słońcem. Natychmiast też zobaczyła Rory'ego. Stał przed budynkiem, odwrócony plecami do niej, przy uchu miał telefon. Nie słyszała, co mówi, ale widziała, że jest wściekły. Naprawdę wściekły.

Chociaż nigdy by się nikomu do tego nie przyznała, Rory Tanner, który miał ego wielkie jak sam Teksas, mógłby idealnie odegrać główną rolę w fantazjach, na jakie sobie pozwalała w cielecym wieku. Fantazjach o twarzym, przystojnym kowboju, który przybywa i ratuje ją od piekła, jakie zgotowała jej matka. A potem, trzymając oczyma i matkę na muszce, sadza ją na siodle przed sobą i odjeżdża prosto w zachodzące słońce, do krainy, gdzie będą żyli długo i szczęśliwie.

Pewnie to rezultat zbyt częstego oglądania westernów w telewizji, pomyślała i skoncentrowała się na tym, po co tu przyjechała.

Zbierając odwagę, by przecierpieć to, co na pewno będzie upokarzającym doświadczeniem, wysiadła z dżipa. Gdy była już tylko o kilka metrów od Rory'ego, usłyszała, jak wrzeszczy:

- Nie obchodzi mnie, gdzie jest ten łobuz! Podpisał ze mną umowę na zagospodarowanie terenu. Masz go znaleźć i natychmiast tu przysłać!

Jeszcze przez chwilę trzymał telefon przy uchu, a potem cisnął go w powietrze, wypuszczając malowniczą wiązanek przekleństw.

Macy w oszołomieniu patrzyła, jak aparat uderza w ścianę budynku i roztrzaskuje się na kawałki.

Rory obrócił się na pięcie i stanął jak wryty, gdy ją zobaczył.

- Co ty, u diabła, tu robisz? - warknął.

Może to nie jest najlepsza chwila na proszenie o przysługę, pomyślała. Szybko rozejrzała się po więdnących roślinach i zdecydowała, że mogłaby mu zaproponować

handel wymienny. To byłoby o wiele mniej przykre niż błaganie na kolanach o pomoc.

Wsunęła ręce do kieszeni spodni, usiłując przyjąć non-szalancką pozę.

- Wygląda na to, że twój specjalista od krajobrazu puścił cię kantem.

- Ten oszust uważa, że tygodniowe wakacje na Bahamach są ważniejsze niż wypełnienie podpisanej umowy.

- Fatalnie - powiedziała i ruszyła przejściem między rzędami doniczek. - Lepiej podlej te rośliny - ostrzegła, przesuwając palcem po liściach, które zaczęły już opadać.

- Nic z nich nie będzie, jeżeli nie zostaną szybko posadzone w ziemi.

Usłyszała jego kroki, ale się nie zatrzymała.

- Wiem - warknął. - I zobaczę, co da się zrobić, gdy tylko pozbędę się stąd ciebie.

Zatrzymała się, żeby postawić z powrotem przewróconą doniczkę.

- Ja mogłabym to zrobić.

Nastała chwila ciszy, a potem Rory wykrzyknął zduszonym głosem:

- Ty?!

Zła, że wątpi w jej umiejętności, spiorunowała go wzrokiem.

- Tak, ja. - Przykucnęła, żeby z bliska przyjrzeć się czerwonej juce. - Nie obawiaj się, mam sporo doświadczenia.

- W czym? W podlewaniu kwiatków na parapecie?

- Parsknął śmiechem. - Kobieto, tu potrzeba co najmniej

pełnego dnia pracy i to tylko pod warunkiem, że ma się dobrą ekipę.

Wstała i otrzepała ręce z kurzu.

- Chyba mogłabym znaleźć pracowników. Na ogół w każdym mieście jest miejsce, gdzie zgłaszają się robotnicy dniówkowi.

Spojrzał na nią z zainteresowaniem.

- Mówisz poważnie?

- Tak.

W zamyśleniu przeciągnął ręką po twarzy.

- A ile byś sobie za to policzyła?

- Musiałbyś tylko zapłacić robotnikom, których najmę. A za moją pracę chciałabym się na coś z tobą wymienić.

- I na czym miałyby polegać ta wymiana?

- Ja ci zagospodaruję teren, a ty mi pomożesz znaleźć mojego ojca.

- Ach... - Zrozumiał, że miał rację, ostrzegając ją.

- Czyli nikt nie chciał z tobą rozmawiać?

Typowe. Musiał jej to rzucić w twarz.

- Owszem - odparła niechętnie.

- Mógłbym powiedzieć: „A nie mówiłem”, ale jestem dżentelmenem.

- Dżentelmen w ogóle by o tym nie wspomniał.

Z uśmiechem wyciągnął do niej rękę.

- Umowa stoi. Kiedy możesz zacząć?

Przez chwilę patrzyła na jego rękę, ale powiedziała sobie, że uścisk dłoni jest konieczny dla przypieczętowania umowy. Przemogła się więc, a zaraz potem ruszyła do dżipa, wycierając rękę o spodnie.

- Wróć, kiedy tylko zatrudnię robotników! - zawołała przez ramię. - A to nie zajmie mi dużo czasu.

Dobrze się złożyło, że Rory nie był hazardzistą. Bo gdyby był, postawiłby ranczo na to, że Macy wróci najwcześniej za kilka dni, jeżeli w ogóle. I straciłby ranczo. Macy wróciła już po godzinie, a jej dżip załadowany był po brzegi ludźmi i narzędziami.

Nie mogąc uwierzyć, że wszystko załatwiła tak błyskawicznie, poszedł jej na spotkanie. Macy już przydzielała robotnikom narzędzia. Znow miała na sobie bezkształtny kombinezon. Rory zaczął dochodzić do wniosku, że taki jest jej codzienny strój.

Gdy już rozdała narzędzia, poprowadziła robotników do palet z trawą, gdzie wydała po hiszpańsku zwięzłe rozkazy. Upewniwszy się, że ją zrozumieli, wyjęła z samochodu notes i podeszła do doniczek. Przez chwilę przyglądała się im, a potem zaczęła coś pisać.

Ciekawy, co robi, Rory podszedł i zajrzał jej przez ramię.

- Co robisz?

Nie słyszała, jak podchodził, i gdy się odezwał, aż podskoczyła.

- Szkicuję projekt.

- Jesteś malarką?

- Nie. Architektem terenów zielonych.

- Nic mi o tym nie powiedziałaś.

- A ty mi od razu powiedziałaś, że jesteś synem Bucka?  
- parsknęła. Włożyła notes pod pachę i poszła w kierunku sklepu.

Jeden do zera dla niej, pomyślał Rory z podziwem i ru-

szął za nią. Gdy ją dogonił, stała z wydętymi w zamyśleniu ustami. Po chwili znów zaczęła szkicować.

Rory zafascynowany patrzył, jak powstaje surowy, lecz zdumiewająco dokładny rysunek jego sklepu.

- Jesteś naprawdę dobra - zauważył.

- Daję sobie radę - mruknęła. - Popatrz. Nie ma miejsca na regularne grządki z kwiatami - powiedziała, wskazując ołówkiem swój szkic. - Ale front wymaga kolorów i zmiękczenia tych ostrych linii. Proponowałabym rośliny w doniczkach. Tu i tu - pokazała - ustawimy beczki po whiskey - i zaraz je narysowała. - Koryto do pojenia koni pod wystawą - mruzczała, rysując je. - Dodałoby to sklepowi charakteru i elementu autentyczności. Moglibyśmy w nim posadzić sezonowe kwiaty. W lecie geranium, a bratki zimą. Albo, jeżeli wolisz, można by posadzić kaktusy. A tu, z boku - mówiła, pokazując ołówkiem wąski pasek ziemi stanowiący granicę z sąsiednią działką - moglibyśmy zasadzić ozdobne drzewa. Na przykład górskie wawrzyny. Jest tu dla nich dosyć słońca i miejsca. Albo, jeżeli chciałbyś mieć coś bardziej kolorowego, można by posadzić mirty. Osłonią działkę i podkreślą urok miejsca.

Rory skinął głową, zachwycony jej propozycjami.

- To wygląda wspaniale. Jesteś naprawdę dobra.

Zaczęła nanosić jakieś uwagi na marginesie.

- W końcu, dzięki temu, że twój ojciec opłacił mi studia, mogłam się uczyć. I, jak widzisz, pieniądze nie zostały zmarnowane, chociaż i tak je zwróciłam.

- Skoro już o tym mowa. - Wyciągnął z kieszeni portfel i wyjął z niego czek. - Proszę. Moi bracia i ja zgodziliśmy się, że powinnaś je zatrzymać.

- Nie wezmę ich. - Włożyła notes pod pachę i odwróciła się, by odejść.

- To nie jest sprawa do dyskusji - przekonywał ją Rory. - Nie chcemy ani nie potrzebujemy tych pieniędzy. Poza tym Buck dał je tobie.

- Z fałszywych powodów - przypomniała mu.

- Macy...

Okręciła się na pięcie, by spojrzeć mu w twarz. Usta miała zaciśnięte w determinacji.

- Posłuchaj. Nie lubiłam twojego ojca. Nie poznałam go, ale go nie lubiłam, co chyba jest zrozumiałe, biorąc pod uwagę, że wolał ustanowić dla mnie fundusz powierniczy, niż uznać mnie i zająć się mną jak własnym dzieckiem. Potem dowiedziałam się, że wcale nie był moim ojcem. Że przez całe lata nienawidziłam niewinnego człowieka. Że zostałam wykorzystana jak nieświadomy niczego pionek, by matka mogła wyciągnąć od niego pieniądze. Czy ty wiesz, jak ja się z tym czuję? - Opuściła głowę.  
- Czuję się jak najgorsza oszustka. A zwrot pieniędzy jest jedynym sposobem, żeby mu jakoś za to zadośćuczynić.

Ta kobieta czuje się winna, bo myślała źle o Bucku? Rory by się roześmiał, ale chyba nie zrozumiałaby tego, nawet gdyby spróbował jej wszystko wyjaśnić.

- Coś ci powiem. - Zrobił całe przedstawienie, wkładając czek z powrotem do portfela, a portfel do kieszeni spodni. - Na razie damy temu spokój. - A gdy już chciała się sprzeciwić, uniósł rękę. - Rozumiem twoje powody, ale ty też musisz zrozumieć mnie i moich braci. Buck dał ci te pieniądze, a my nie uważamy, byśmy byli upoważnieni do odebrania ci ich. A jeżeli czujesz się winna, bo

miałaś pretensje do Bucka... - przerwał i podrapał się po brodzie. - No więc, jeżeli od tego poczujesz się lepiej, powiem ci, że my też niezbyt go lubiliśmy.

- Naprawdę? - spytała zdumiona.

- Tak. Z tych samych powodów. Wprawdzie ojciec nas uznał, ale nigdy nie poczuwał się do obowiązku opieki nad nami.

Następnego dnia po południu Rory wyglądał na dwór przez wystawowe okno swojego sklepu. Na dworze Macy obchodziła teren, sprawdzając wykonaną robotę. Od czasu do czasu pochylała się i zrywała uschnięty kwiatek albo sprawdzała, czy rośliny mają dość wilgoci.

Nie mógł uwierzyć, że udało jej się zrobić to wszystko. A projekt, jaki sporządziła, był o niebo lepszy niż to, co zaproponował pierwszy architekt zieleni, no i wyszło mu to o wiele taniej, biorąc pod uwagę, że jako zapłaty zażądała pomocy w znalezieniu swojego ojca.

Musi jej być ciężko, pomyślał, przypominając sobie, co mu mówiła. Trudno jest żyć, nie wiedząc, kim był twój ojciec. To wielkie brzemię dla każdego.

Ich spojrzenia się spotkały. Poczuł lekki wstrząs. Zde nerwował się, bo taki wstrząs oznaczał zmysłowe zainteresowanie, a on nie był nią zainteresowany w taki sposób. Do diabła, wystarczy na nią spojrzeć. W czapce z daszkiem przekreślonym do tyłu i kombinezonie wybrudzonym błotem wyglądała bardziej jak chłopaczek niż jak kobieta.

Wziął głęboki oddech, by odgonić panikę, która już chwytła go za gardło, i powiedział sobie, że po prostu jej



współczuje. Tak, to zwykłe współczucie. Ogarnęła go wielka ulga, gdy zidentyfikował swoje uczucia.

Pokiwała do niego, żeby wyszedł na dwór.

- Na dziś już kończę - zawołał do pracowników. - Jeżeli będziecie czegoś od mnie chcieli, zadzwońcie na telefon komórkowy.

- Przecież go rozwaliłeś.

Słyszac uwagę kierowniczkę sklepu, zatrzymał się na moment w drzwiach.

- Nie zaprzataj sobie tym swojej ślicznej główki - odpowiedział. - Kupiłem nowy. Numer jest ten sam.

Z rękami w kieszeniach podszedł do Macy, która czekała w cieniu rzucanym przez jeden z górskich wawrzynów, jakie posadziła.

- Wszystko gotowe? - spytał.

Skinęła głową i machnęła ręką w kierunku robotników czekających obok dżipa.

- Tak. Jeszcze tylko trzeba im zapłacić.

- Ile?

Podala sumę. Rory wyjął z portfela kilka banknotów. Macy szybko je przeliczyła i oddala mu jeden.

- Dałeś o sto za duzo.

- To dla nich. Powiedz im, że dostają premię, bo ciężko się napracowali. - Wsparł się pod boki i z zadowoleniem się rozejrzał. - Dobra robota, Macy. O wiele lepsza niż to, co proponował Arnold.

- Powiem im, że jesteś zadowolony z ich pracy.

- I z twojej - powiedział. - Doskonale to zaprojektowałaś.

Wzruszyła ramionami.

- Projekt byłby nic niewart bez odpowiedniego wykonawstwa. Ci ludzie ciężko pracowali i stosowali się do moich wskazówek. Jeśli teraz zadbasz o wszystko, roślinność przeżyje.

- Zadbam - obiecał Rory.

Macy niespokojnie przestąpiła z nogi na nogę.

- A co do twojej części umowy... - zaczęła nerwowo.

Uniósł rękę.

- Zamierzam jej dotrzymać. Już o tym pomyślałem. Buck sporo przesiadywał w barze „Longhorn” w Killeen. Jego właścicielką jest Dixie Leigh. To przyjaciółka naszej rodziny. Co ty na to, żebyśmy do niej pojechali? Może ona coś wie.

- Teraz?

Przesunął spojrzeniem po jej figurze.

- Nie wolałabyś najpierw się przebrać?

- Nie mówiłam, że natychmiast. Moglibyśmy się tu spotkać... - spojrzała na zegarek - powiedzmy, za półtorej godziny?

- Dobrze. O szóstej.

- Jeszcze chwila, a przetniesz sobie szyję - ostrzegł Rory. Co za kłębek nerwów, pomyślał.

Macy z przestrawieniem spojrzała na niego, a potem w dół, na złoty łańcuszek, który ścisnęła z całych sił. Zawstydzona, podłożyła ręce pod uda.

- Przepraszam. Jestem trochę zdenerwowana.

- Nie ma czym - uspokajał ją, parkując przed barem.

- Dixie Leigh to jedna z najładniejszych kobiet, jakie znam. Gotowa?

Macy sztywno skinęła głową i wysiadła. Rory wziął ją pod rękę i poprowadził do baru.

- Jest Dixie? - spytał barmana, leniwie polerującego szklanki.

- Hej, Dix! - zawołał mężczyzna. - Jakiś facet chce się z tobą widzieć.

- Powiedz mu, że jestem w biurze.

Słyszając ten ochrypły głos, Macy zmarszczyła czoło.

- I to według ciebie jest słodczy? - spytała cierpko.

Chichocząc objął ją w pasie i pociągnął do drzwi biura.

- Nie przejmuj się. Dixie szczeka, ale nie gryzie. - Zastukał kostkami palców w drzwi. - Hej, Dixie! - zawołał.

- To ja, Rory Tanner.

Drzwi otworzyły się szeroko i w progu stanęła kobieta w średnim wieku, o włosach jak ogień. Ubrana w obcisłe dżinsy i równie obcisły podkoszulek z napisem „Szefowa”, wydawała się całkiem zdolna do radzenia sobie z każdym kłopotem, jaki napotka na swojej drodze. Z kącika ust zwiślał jej papieros.

- No, no, zajęło ci to sporo czasu - mruknęła, mierząc go takim spojrzeniem, jakby gotowała się do walki.

- Od miesiąca jesteś w mieście i dopiero teraz przychodzisz?

- Daj spokój, Dixie - łagodził Rory. - Przyszedłbym wcześniej, ale byłem zapracowany, szykując sklep do otwarcia.

Stuknęła go w pierś.

- Od kiedy to rodzina jest mniej ważna niż praca?

- parsknęła. I, usiłując ukryć uśmiech, otworzyła ramiona.

- Chodź, ty dryblasie, i uściskaj mnie.

Macy oszołomiona patrzyła, jak Rory ze śmiechem chwycił Dixie w objęcia i okręcił się z nią w kółko.

- Postaw mnie, bo oparzysz się moim papierosem - mruknęła.

Gdy już znów pewnie stała, poprawiła przekreślony podkoszulek i spojrzała gniewnie na Macy.

- A to kto?

- Nie musisz być zazdrosna - drażnił się z nią Rory.

- Przecież wiesz, że moje serce należy do ciebie.

- Skarbie, zbyt długo już pracuję w barach, żeby dać się mężczyźnie nabrać na słodkie słówka. - No więc - zwróciła się do Macy. - Masz jakieś imię?

Macy była onieśmielona, ale nie pokazała tego po sobie. Wyciągnęła rękę.

- Macy Keller.

- Keller - powtórzyła Dixie, przyglądając się jej z ciekawością. - Kiedyś już słyszałam to nazwisko. Jesteś stąd?

Macy poczuła nadzieję.

- Nie, proszę pani. Ale moja matka tu mieszkała. I dlatego właśnie przyjechałam. Miałam nadzieję, że pani ją znała.

Dixie chwilę jeszcze jej się przyglądała, a potem westchnęła.

- Lepiej wejdźcie do pokoju - zaprosiła. - Coś mi mów, że ta rozmowa powinna się odbyć bez świadków.

Macy i Rory usiedli na sfatygowanej kanapie, a Dixie zajęła swoje miejsce za biurkiem.

- Moja matka nazywała się Daria Jean Keller - zaczęła Macy, chcąc jak najszybciej się czegoś dowiedzieć. - Pamięta ją pani?

- Daria Jean? - zachichotała Dixie. - Tak. Pamiętam

ją. Ładna dziewczyna. Lubiła szampana, a stać ją było tylko na piwo.

- To prawda - przyznała sucho Macy.

Dixie zapaliła następnego papierosa i głęboko się zaciągnęła.

- Ta Daria Jean to dopiero była zabawowa dziewczyna. W każdy weekend przyjeżdżała do barów w Killeen. Przyciągała mężczyzn jak lep przyciąga muchy i wykorzystywała ich najlepiej jak mogła. - Dixie spojrzała na Macy, jakby obawiała się, że ją uraziła.

Macy przykro było słyszeć, że matka miała aż tak fatalną reputację, ale tylko machnęła ręką.

- Proszę mówić dalej. Właśnie po to tu przyjechałam. Proszę mi powiedzieć wszystko, co pani o niej wie.

- Po co? - spytała Dixie ostro. - To już przeszłość. Lepiej ją pogrzebać.

Macy w determinacji zacisnęła pięści.

- Bo ja jestem częścią tej przeszłości. Gdy matka wyjechała z Tanner's Crossing dwadzieścia dziewięć lat temu, była ze mną w ciąży. - Spojrzała na Rory'ego, wzrokiem prosząc go o pozwolenie na powiedzenie wszystkiego. - Gdy skinął głową, odwróciła się z powrotem do Dixie. - Matka powiedziała mi, że moim ojcem jest Buck Tanner. Jeszcze dwa miesiące temu w to wierzyłam. Ale wtedy, na łożu śmierci, wyznała mi, że skłamała. Nie tylko mnie, lecz również Buckowi. W jakiś sposób zdołała go przekonać, że dziecko, które nosi, jest jego dzieckiem. Liczyła, że się z nią ożeni. Ale on tylko zapłacił jej, żeby się stąd wyniosła i obiecała, że nigdy nie wróci do Tanner's Crossing.

Dixie w zamyśleniu zaciągnęła się papierosem i wydmuchała kłęb dymu.

- A więc chcesz się dowiedzieć, kto naprawdę jest twoim ojcem.

- Tak - szepnęła Macy przez zaciśnięte z emocji gardło. - I mam nadzieję, że pani mi w tym pomoże.

Dixie zgasiła papierosa w przepełnionej popielniczce i spojrzała Macy w oczy.

- Skarbie - powiedziała - bardzo chciałabym ci pomóc, ale nie mogę. Jak już mówiłam, twoja mama przyciągała mężczyzn jak lep przyciąga muchy. Gdybym miała zgadywać, który z nich był twoim ojcem, mogłabym równie dobrze po prostu dać ci książkę telefoniczną.

- Rozumiem - powiedziała Macy smutno. Wzięła głęboki oddech, wstała i zmusiła się do uśmiechu. - Dziękuję, że zechciała pani ze mną porozmawiać.

Rory podniósł kapelusz i też wstał.

- Tak, Dixie. Dziękujemy ci.

Byli już przy drzwiach, gdy Dixie ich zawołała.

- Zaczekajcie!

Oboje się do niej odwrócili.

- Twoja mama miała przyjaciółkę od serca. Nazywała się chyba Sheila Tompkins. Od tamtych czasów nigdy już jej nie widziałam, ale jeżeli ktoś w ogóle znał tajemnice Darli Jean, to tylko Sheila. Te dwie dziewczyny były nierozłączne.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Do Tanner's Crossing wracali w milczeniu. Macy wyraźnie nie była w nastroju do rozmów i Rory wolał jej do tego nie zmuszać. Nie chciał, żeby załamała się jeszcze przy nim. Siedziała napięta jak sprężyna. Nie wątpił, że w którymś momencie sprężyna pęknie i łązy popłyną strumieniem, a on nie miał ochoty być w pobliżu i wycierać kałuż.

Rozumiał jej wzburzenie. Dixie nie należała do ludzi, którzy starannie dobierają słowa, a to, co miała do powiedzenia o Darli Jean Keller, nie było pochlebne. Książka telefoniczna, pomyślał i pokręcił głową, wspominając sposób, w jaki Dixie wyjawiała Macy, że jej matka spała z wieloma mężczyznami. To musiało być dla niej trudne: siedzieć i słuchać, jak ktoś tak bez ogródek mówi o reputacji matki. I to jeszcze w jego obecności.

A Rory z własnego doświadczenia wiedział, jak to jest, gdy człowiek wstydzi się za rodziców. Biorąc pod uwagę wyczyny Bucka, prawdziwym cudem było, że on i jego bracia mogli nosić głowę wysoko. Ale to już przeszłość, jak słusznie zauważyła Dixie, i Rory starał się o niej nie myśleć.

Jednak Macy tak nie uważała.

To też był w stanie zrozumieć. Gdyby przeżył większą

część swojego życia wierząc, że jego ojcem jest konkretny mężczyzna, a potem dowiedziałyby się, że to nieprawda, chyba też starałyby się dowiedzieć, kto nim był w rzeczywistości.

Gdy parkował przed swoim sklepem, minęła już dziesiąta. Wyjął kluczyki ze stacyjki, wyłączył światła i w ciemnościach sześć razy zaczerpnął tchu. Wiedział, że sześć, bo liczył. Czekał, które z nich zdecyduje się przerwać milczenie. Pierwsza nie wytrzymała Macy.

- Znasz tę Tompkins?

- Nie. Nigdy o niej nie słyszałem.

- To chyba jej panieńskie nazwisko - myślała Macy na głos. - Jeżeli wyszła za męża, teraz nazywa się inaczej.

- Tak - zgodził się. - Chyba tak. - Przez chwilę się wahał, niepewny, czy Macy chce kontynuować swoje śledztwo, i jeszcze bardziej niepewny, czy sam chce się w to włączać. - Mógłbym popytać - zaproponował. - Sprawdzę, czy ktoś coś o niej wie.

- Byłabym ci wdzięczna.

Otworzyła drzwiczki, ale Rory chwycił ją za ramię, zanim zdążyła wysiąść.

- Jesteś pewna, że tego chcesz? To znaczy... możesz narazić się na jeszcze większe cierpienie, grzebiąc w przeszłości.

Obejrzała się na niego przez ramię.

- A ty na moim miejscu zrezygnowałbyś?

W ciemnościach nie widział dobrze jej twarzy, ale i tak zrobiło mu się jej żal. Była blada, oczy lśniły od niewyłączonych łez. Z westchnieniem puścił jej ramię.

- Nie, chyba nie.



Wysiadła i szła do swojego dzipa. Rory już wkładał kluczyki do stacyjki. Nagle usłyszał szloch. Przez chwilę chciał uciec i zostawić ją samą, ale palce mu zeszywniały i nie mógł przekręcić kluczyka.

Klnąc pod nosem, wyskoczył z samochodu, podszedł do Macy i obrócił ją twarzą do siebie.

- Chodź do mnie - szepnął i przytulił ją.

Nie chciała pociechy. Stała w jego objęciach sztywna, pięściami odgrodziła się od niego. Ale go nie odepchnęła, co go zdziwiło. Po prostu płakała. Wstrząsało nią rozpaczliwe łkanie, a jemu topniało serce. Już po chwili miał mokrą koszulę, jej gorzkie łzy paliły mu skórę jak kwas. Nie wiedząc, co zrobić, tylko wcisnął sobie jej głowę pod brodę.

Jest taka szczupła, pomyślał, głaszcząc ją po plecach. Wyczuwał każdą kosteczkę, każde żebro. Ale ta szczupłość nie była oznaką słabości. Macy była silna, zarówno ciałem, jak i duchem. Widział przecież, jak nosi ciężkie skrzynki z roślinami, jakby były puste. I śmiało stawiała czoło całemu rodowi Tannerów, którzy, zebrani razem, niejednego mężczyznę zmusiliby do odwrotu.

Gdy tak głąskał ją po plecach, poczuł wreszcie, że sztywność jej ciała ustępuje. Przestała zaciskać pięści. Ręce, jak i resztę ciała, miała szczupłe i delikatne, lecz silne. Ciekawe, jak by to było poczuć je na gołej skórze.

Zadrżała. Objął ją mocniej, uściśnął, by dodać jej otuchy.

- Już w porządku? - spytał.

Skineęła głową.

Wyciągnął chusteczkę z kieszeni i wcisnął jej w rękę. Odstąpiła o krok i wytarła oczy.

- Dasz radę sama pojechać do domu? - spytał.

Skinęła głową jeszcze raz, ale nie patrzyła na niego, jakby się wstydziła spojrzeć mu w oczy.

- Mogę jechać za tobą, jeśli chcesz - zaproponował.

- Albo cię odwiozę. Dżipa możesz tu spokojnie zostawić na noc.

- Nie, dziękuję. Nie trzeba. - Odwróciła się i, stojąc już tyłem do niego, mruknęła: - Dziękuję. - Wsiadła do samochodu i odjechała.

Rory patrzył za nią. To jedno słowo: „Dziękuję” sprawiło, że zastygł w miejscu. Chociaż z trudem je z siebie wycisnęła, wypowiedziała je szczerze, a ta szczerłość poruszyła go do głębi.

Czekał, aż znikną tylne światła dżipa. Zastanawiał się, czy za nią pojechać. Teraz, gdy jest taka smutna, nie powinna być sama.

Ale zawrócił do swojego pikapa. Nie może dać się ponieść uczuciom. Macy stanowiła zadanie powierzone mu przez braci. Nic więcej. Gdy znajdzie ojca, wyjedzie z miasta i jego związek z tą sprawą się skończy.

Jednak nie wsiadał do samochodu. Czuł głuchy ból. Niestrawność? Chwilę się nad tym zastanawiał, a potem zdecydowanym ruchem wgramolił się na fotel. Pewnie niestrawność. Przecież nie czuje nic do Macy Keller.

Macy leżała na wąskim łóżku w swojej przyczepie. Oczy miała spuchnięte od płaczu. Powiedzieć, że przeżyła rozczarowanie, to mało. Pokładała taką nadzieję w Dixie. Ale Dixie nic nie wiedziała o jej ojcu.

Ależ ta kobieta ma charakterek! - pomyślała, usiłując

skupić uwagę na innych sprawach niż poszukiwanie ojca. I z całą pewnością nie stara się nikomu umilić przykrej prawdy. Ale najwyraźniej uwielbia Rory'ego.

Macy zmarszczyła czoło, przypominając sobie, jak Rory chwycił Dixie w objęcia i ze śmiechem się z nią okręcił. Rory to flirtiarz. Widziała dosyć, by być tego pewna.

Na wspomnienie Rory'ego zakopała się głębiej w pościel i naciągnęła kołdrę pod brodę. Był dla niej taki dobry. Zaskoczył ją, udzielając jej pociechy. Była wściekła na siebie, że się załamała w jego obecności. Płacząc, odkryła przed nim swoją słabość. A nie życzyła sobie, by ktokolwiek zauważył, że nie jest tak silna, za jaką ludzie ją uważają. Dobrze wiedziała, że są ludzie, którzy dla uzyskania władzy wykorzystają każdą oznakę cudzej słabości. Matka Macy taka była i teraz Macy za nic nie pozwoli, by to się powtórzyło. Matka zadała jej wystarczająco dużo bólu.

Ale nie wyglądało na to, że Rory potraktował jej płacz jako oznakę słabości. Był jedynie zatroskany. Macy zadrdzała, przypominając sobie to uczucie bezpieczeństwa, gdy ją objął, pociechę, jakiej tak rozpaczliwie potrzebowała. To głupie, wiedziała o tym, ale gdy ją obejmował, czuła się tak, jakby spełniała się jej fantazja o kowboju, który wjechał na scenę, by uratować ją z niedoli.

Przekręciła się na bok i pięścią uderzyła w poduszkę. To śmieszne. Właśnie myśląc w ten sposób kobieta popada w kłopoty. Zamiast używać własnego rozumu, zaczyna zależeć od mężczyzny. Tak właśnie zrobiła matka Macy, gdy wyszła za mąż. I związała się z brutalnym, upartym i egoistycznym mężczyzną, a potem przez resztę życia

mściła się na wszystkich - a już szczególnie na Macy - za błąd, jaki sama popełniła.

Macy zacisnęła z determinacją usta. Ona nie wpadnie w taką pułapkę. Nie popadnie w zależność od Rory'ego Tannera. To byłby wielki błąd. Jest samodzielna i nie potrzebuje nikogo, by dawać sobie w życiu radę.

To jedyny sposób, jaki знаła, by jakoś przeżyć.

Od ślubu Reese'a i Kayli niedzielny obiad w Bar-T stał się rodzinną tradycją. Rory zawsze z radością na to czekał i rzadko się zdarzało, by nie mógł przyjechać. Ale tej niedzieli zjawił się późno. Całą noc przewracał się z boku na bok, bo martwił się o Macy. Ta kobieta miała dość kłopotów, by całe zgromadzenie zakonnic przez rok na kolanach się za nią modliło.

Gdy przyjechał na ranczo, jego bracia i ich żony już siedzieli za stołem. Szybko obszedł ich wkoło, cmo-kając w policzek wszystkie swoje bratowe, a potem zajął miejsce obok bratanicy, siedzącej na swoim wysokim krzeselku.

- Witaj, kotku - powiedział i potarł nosem o nosek małej. - Jak się miewa moja ulubiona dziewczynka?

- Nie daj mu się nabrać - ostrzegł Ash swoją córeczkę.

- On każdej kobiecie mówi, że jest jego ulubienicą.

Rory roześmiał się i rozłożył serwetkę na kolanach.

- Co ja na to poradzę, że lubię kobiety?

- Odziedzyczyłeś to po ojcu - mruknął Ash pod nosem.

- Słyszałem - powiedział Rory z oburzeniem.

- To święta prawda. Słuszną krytykę trzeba przyjmować w pokorze.

Reese nabrał łyżkę tłuczonych ziemniaków z salaterki i wpakował ją Rory'emu w rękę.

- Jedz - nakazał. - Kłócić się będziecie później.

Rory rzucił mu ponure spojrzenie.

- Jak idzie budowa? - spytał Reese, próbując nie dopuścić do sprzeczki.

- Całkiem nieźle. Zajrzałem tam po drodze. Przyszły gotowe ścianki, więc chyba na początku tygodnia zaczną je montować.

- Słyszałam, że Macy Keller zagospodarowała ci teren wokół sklepu - powiedział Woodrow. - Jak do tego doszło?

- Architekt zieleni, którego zatrudniłem, wyjechał z miasta, więc Macy podjęła się go zastąpić.

- Dlaczego? - zdziwił się Ash.

Rory nałożył sobie plaster mięsa z półmiska. Nie zamierzał tak szybko przebaczać Ashowi jego uwagi.

- To nie twoja sprawa - poinformował go cierpko - ale i tak ci powiem, że zgodziliśmy się na wymianę usług.

Woodrow parsknął śmiechem.

- I nawet wiem, co panna Keller otrzyma w zamian.

Rory uśmiechnął się obłudnie.

- Jeżeli myślisz o łóżku, to bardzo się mylisz.

- Naprawdę? Myślałem, że właśnie w ten sposób skłaniasz kobiety, by zrobiły to, czego potrzebujesz.

- Nie muszę uwodzić kobiet, żeby mi pomogły. Robią to, bo same chcą.

- A to, czego chcą, kryje się w twoich spodniach.

Rory rozłożył ręce w bezradnym geście.

- Czy to moja wina, że im się podobam? - Wziął wi-

delec i wycelował go w Asha. - Ale powiem wam prawdę. To Macy zaproponowała umowę.

- A co ona dostanie w zamian? - spytał Ash.

- Obiecałem pomóc jej w poszukiwaniu ojca. Pomyślałem sobie, że w ten sposób będę mógł cały czas mieć na nią oko.

- Bardzo mądrze - pochwalił Ash. - I co? Udało jej się czegoś dowiedzieć?

- Wczoraj wieczorem byliśmy u Dixie. Pamięta matkę Macy i podała nam nazwisko jej przyjaciółki z tamtych czasów. To niejaka Sheila Tompkins. Może któreś z was słyszało o niej?

- Tompkins? - powtórzył Ash ze zmarszczonym czołem. - Nie. Ja nikogo takiego nie znam. A ty, Woodrow?

- Tu nikt taki nie mieszka. Jestem tego pewny.

- Sprawdziliście w książce telefonicznej? - spytała Maggie.

- Tak, ale nie znalazłem. - Rory odłamał kawałek bułki i rzucił na stolik krzeselka Laury. Uśmiechnął się, widząc, jak bratanica zaciska na nim tłustą rączkę.

Maggie odebrała córce bułkę.

- Najpierw musi zjeść jarzynkę - powiedziała stanowczo.

Rory spojrział na zieloną paciaję w miseczce i skrzywił się.

- To ma być jarzynka? Dla mnie to wygląda jak świeże krowie g...

Ash spojrział na niego karcąco.

- Wielkie uszy - mruknął.

- Zupełnie jakby nigdy tego nie słyszała od ciebie

- mruknął Rory. Nabrał na łyżkę szpinak i podsunął Lau-

rze do ust. - No, kotku - namawiał. - Gdy zjesz szpinaczek, stryjek Rory da ci bułkę.

Laura odepchnęła łyżkę.

- Wiem, kto może pamiętać Sheilę Tompkins - odezwała się Elizabeth.

- Kto? - spytał Woodrow.

Rory skorzystał z tego, że wszyscy patrzą na jego bratową i, chcąc pomóc Laurze, sam zjadł szpinak, ale natychmiast tego pożałował. Rozpaczliwie szukał czegoś, do czego mógłby go wypluć.

- Maw Parker - wyjaśniła Elizabeth. - Mieszka tu od zawsze i zna wszystkich.

- Rzeczywiście - zgodził się z nią Woodrow i zwrócił się do Rory'ego. - Może zadzwoń do Maw?

Rory ciągle jeszcze miał w ustach szpinak. Nie pozostało mu nic innego, jak go przełknąć.

- Zadzwonię - wybełkotał i szybko wypił pół szklanki herbaty, żeby pozbyć się obrzydliwego smaku.

Elizabeth spojrzała na niego z niepokojem.

- Źle się czujesz?

Rory przycisnął rękę do żołądka, modląc się, by szpinak zechciał w nim pozostać.

- Nie, wszystko w porządku.

- A co myślisz o Macy? - spytał Ash.

Rory podał Laurze łyżkę.

- Proszę, sama musisz się tym zająć - powiedział i zwrócił się do Asha. - Chyba jest w porządku. Dlaczego pytasz?

- Bo widzę, że spędziłeś z nią trochę czasu. Jestem ciekaw, czego się o niej dowiedziałeś.

- Jest architektem zieleni. Wykorzystała pieniądze

z funduszu powierniczego Bucka, żeby opłacić studia. Przyjechała do Tanner's Crossing oddać nam pieniądze i znaleźć swojego prawdziwego ojca. - Wzruszył ramionami. - Tylko tyle. Nie jest specjalnie gadatliwa.

- A ona sama, jaka jest?

- Na pewno jest dobra w swoim zawodzie. A jeśli chodzi o charakter, jest twarda, niezależna i stanowcza. I nieufna. - Zaśmiał się. - Przypomina żółwia. Chodzi z głową schowaną w ramiona, jakby się spodziewała, że ktoś wymierzy jej cios. - Przestał się uśmiechać, gdy przypomniał sobie jej wczorajszą rozpacz. - Ale ma w sobie jakiś smutek - dodał z wahaniem.

- Dlaczego? - spytała Maggie.

- Nie wiem - powiedział, nie potrafiąc nazwać uczuć, jakie widział w spojrzeniu Macy. - Jakby była zagubiona.

- Jak sądzę, cierpi na kryzys tożsamości - wtrąciła się Elizabeth. - Ludzie wywodzą swoją tożsamość od rodziców. Śmierć matki i odkrycie, że mężczyzna, którego uważała za ojca, nie jest jej ojcem, ograbiły ją z poczucia tożsamości. Na pewno teraz zastanawia się, kim jest w rzeczywistości, a to tłumaczyłoby poczucie zagubienia, o którym wspominał Rory.

Tym spowodowany może być także jej brak ufności - kontynuowała. - Wiedza, kim się jest i skąd się pochodzi, daje człowiekowi pewność siebie. Poczucie bezpieczeństwa, jeśli wolicie. A u Macy to poczucie zostało okropnie zachwiane, bo straciła swoją tożsamość. Na dodatek odkryła, że matka kłamała. I teraz Macy już nikomu nie ufa. W końcu jeżeli nie można ufać własnej matce, to czy w ogóle komuś można ufać?



Może się myłę - wywodziła dalej - ale gdybym miała tu wyrazić swoje zdanie, powiedziałabym, że Macy jest przerażona. Szuka swojej tożsamości, czegoś, na czym mogłaby się oprzeć. I póki tego nie znajdzie, czuje się jak w pułapce. To dla niej prawdziwe piekło. Nie może się cofnąć. Jej przeszłość, ta, którą znała, już nie istnieje. A nie może iść do przodu, bo przyszłość wydaje jej się poza jej zasięgiem. Dopóki nie dowie się, kto jest jej ojcem i kim jest ona sama, pozostanie w takim stanie zawieszenia.

Przyczepa Macy była mała, przeznaczona bardziej na weekendowe wyprawy niż na stałe mieszkanie. Stała w cieniu rzucanym przez drzewo bawełnicy. Obok, na wąskim pasie trawy, stał leżak. Leżała na nim Macy, z gołymi nogami, oczy osłaniały jej ciemne okulary. Krótkie szorty pozwalały zobaczyć zadziwiająco długie nogi, a króciutka bluzka odsłaniała spory kawałek kuszącego ciała. Rory pomyślał, że Macy musi mocno spać, skoro nie zwróciła uwagi, gdy parkował na ulicy. Natomiast sąsiedzi z naprzeciwka przyglądali mu się nieufnie.

Z westchnieniem spojrzął z powrotem na Macy, zbierając odwagę, by do niej podejść. Wyjeżdżając po obiedzie z rancza nie planował wizyty u niej, ale nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, jakie wywarła na nim teoria Elizabeth, że Macy przechodzi kryzys tożsamości. Nie znał się na psychologii tak, jak jego bratowa, ale musiał przyznać, że to, co mówiła, miało sens.

A jeżeli już miał się zapuszczać na teren psychoanalizy, przyczepa, którą Macy sobie wybrała na mieszkanie, potwierdzała opinie Elizabeth. Było to mieszkanie nie zako-

twiczone w ziemi, bez szans na stabilność i równowagę, zupełnie jak życie Macy w tej chwili. I brakowało mu osobowości. Przyczepa była pomalowana na obojętny beżowy kolor, a jedynym wyróżniającym ją elementem był brązowy pas po obu stronach.

Rory chciał poznać tę kobietę. Sprawdzić, czy teoria Elizabeth jest słuszna. Przekonać się, czy to, że Macy zachowuje się jak jeź, jest mechanizmem obronnym, objawem tego, że straciła wiarę w podstawy, na jakich do tej pory opierało się jej życie. Odkryć, czy rzeczywiście cierpi na kryzys tożsamości w wyniku śmierci matki i jej kłamstw.

No, trzeba do niej podejść. Jeżeli postoi tu jeszcze chwilę, sąsiedzi uznają, że jest podglądaczem, i wezwą policję. Wysiadł z pikapa, podszedł i... odkrył, że pasek gołego ciała jest z bliska jeszcze bardziej kuszący.

- Pracujesz nad opalenizną? - spytał.

Podskoczyła na dźwięk jego głosu, omal nie spadając z leżaka. Zerwała z twarzy okulary i spiorunowała go wzrokiem.

- Chcesz mnie przestraszyć na śmierć? - warknęła.

Ukrył uśmiech. Była taka słodka, gdy się gniewała.

- Nie, ale chyba i tak mi się udało.

Usiadła z nogami na ziemi i ukryła twarz w rękach.

- Spałam - mruknęła.

Wsunął palec pod ramiączko jej bluzki. Poczucił, jak zadrzała.

- Śliczna piżamka.

- Nie podoba ci się?

Podniósł rękę.

- Po prostu podziwiałem twój strój.

Poprawiła ramiączko.

- Czego chcesz?

- Czy mężczyzna musi mieć jakiś powód, by odwiedzić uroczą kobietę?

- Oszczędź sobie trudu. Jestem uodporniona na sztuczki takich mężczyzn jak ty.

- Nie byłbym tego taki pewny - powiedział, patrząc znacząco na jej bluzkę.

Spojrzała w dół i szybko zakryła się rękami, by zasłonić sutki wypychające cienki materiał.

- Pytam jeszcze raz - powiedziała szorstko. - Czego tu chcesz?

Wzruszył ramionami.

- Jechałem do sklepu i pomyślałem, że może chciała-byś zabrać się ze mną. Rzucić okiem na rośliny - dodał licząc, że tym ją przekona.

Przez chwilę jeszcze patrzyła na niego ze złością, a potem schyliła się, by włożyć sandały.

- Czemu nie? Nie mam nic lepszego do roboty.

- A więc pojedziesz ze mną? - upewnił się, zdziwiony, że tak łatwo się zgodziła.

- Podlewałaś dziś rośliny?

- Nie.

- Wobec tego pojedę. Ktoś musi się nimi zająć, bo inaczej nie przeżyją.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Macy kucnęła i palcem sprawdziła ziemię w donicy z juką.

- Jeszcze wilgotna - mruknęła. Wstała, otrzepała ręce i przyjrzała się sąsiednim roślinom. - Trzeba by zainstalować tu ciąg zraszaczy. Ziemia nie zatrzymuje wilgoci.

- Ta kobieta to idiotka!

Macy ze zdumieniem spojrzała na niego.

- Jaka kobieta?

Rory wskazał ręką wystawę sklepu.

- Ta cholerna dekoratorka. Użyła umrzyków. Umrzyków! A specjalnie jej mówiłem, żeby tego nie robiła.

- Umrzyków? - nie zrozumiała Macy. - Ach, masz na myśli manekiny?

- Tak! I spójrz na ten parkan! - Rory aż się zaczerwienił ze złości. - Czy według ciebie to wygląda jak ogrodzenie korralu?

Macy nie wiedziała, czy ma potwierdzić, czy zaprzeczyć.

- A chciałeś tu mieć korral? - spytała ostrożnie.

- Do diabła, tak! Ze słupkami i barierkami - mruknął ponuro. - Takie ogrodzenie jak tu nadaje się do ogródka cioci, a nie na ranczo. I popatrz na te kupki piachu - dodał, wskazując podłogę wystawy. - Czy to wygląda jak

żwir, którym wysypany jest korral? Do diabła, nie! - krzyknął, zanim Macy zdążyła odpowiedzieć. - To wygląda jak jakaś cholerna plaża!

Macy musiała przyznać mu rację. Wystawa była wprost komiczna, z tym ciotczynym ogrodzeniem, piaskiem i „umrzykami” ubranymi jak kowboje.

- Nie jest tak źle - powiedziała, próbując dyplomacji. Spojrzał na nią jak na wariatkę.

- Kpisz sobie ze mnie? Prawdziwy kowboj, widząc to, pęknie ze śmiechu.

- No to nie pozostaje ci nic innego, jak tylko kazać jej to przerobić.

- Nie mogę! Ona już wyjechała. Za długo by potrwało, zanim bym ją tu z powrotem sprowadził. A otwarcie jest w środę.

- No więc sam to przerób - powiedziała ze złością.

- Przecież wiesz, co byś chciał tu mieć.

- A twoim zdaniem, po co zatrudniłem dekoratorkę wystaw? Trzeba mieć talent, żeby udekorować wystawę. A chociaż Bóg obdarzył mnie wieloma talentami, tego akurat mi poskapił.

Znów popatrzył na wystawę. Miał minę małego chłopca, któremu upadły na ziemię lody, zanim zdążył je choć raz liznąć.

- A tak chciałem zrobić tu coś wyjątkowego - powiedział żałośnie. - To moje rodzinne miasto. Miasto, gdzie się urodziłem i wychowałem. Chciałem dać ludziom możliwość chełpienia się, że mają najlepszy sklep westernowy w całym stanie. Zaprosiłem media i prominentów z całego Teksasu na otwarcie. Już wyobrażałem sobie zdjęcia

w gazetach: gubernator przecinający wstęgę... - Z żalem pokręcił głową. - A tymczasem, zamiast dać ludziom coś, czym mogliby się chwalić, wystawiłem Tanner's Crossing na pośmiewisko.

- Chyba nie jest aż tak źle.

- Nie. Jest jeszcze gorzej. Farmerzy. Ranczerzy. Kowboje. Tylu ich tu mieszka, i wszyscy mieli się u mnie zaopatrywać. To dumni ludzie. Na utrzymanie zarabiają w pocie czoła pracą własnych rąk. A to jest jak obelga dla nich. To kpiny z tego, kim są, co robią i na czym im zależy.

Macy, patrząc na wystawę, zaczynała rozumieć zmartwienie Rory'ego.

- I nic już nie możesz zrobić?

- Tylko to wszystko wyrzucić. Wystawa będzie pusta, ale lepsze to, niż zawstydząć ludzi czymś takim.

To, że poświęci rzeczy, które musiały go sporo kosztować, by nie sprawiać przykrości ludziom z okolicy, zadziwiło Macy. Zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem nie oceniła go źle.

- Daj mi klucze.

- Po co?

- Urządzimy wystawę tak, by ludzie z Tanner's Crossing mieli słuszne powody do dumy.

Niecałą godzinę zabrało оголоczenie wystawy ze wszystkiego, co na niej było. Rory cały czas mruczał pod nosem groźby wobec kobiety, której zapłacił za projekt i wykonawstwo. Następną godzinę zabrała im jazda na ranczo, zebranie tego, co potrzebowali, i powrót do skle-

pu. Słońce już zachodziło, musieli zapalić światła, i w sklepie było gorąco jak w piecu.

Rory rozrzucił żwir, Macy wbijała słupki ogrodzenia.

- Twoja rodzina nie będzie ci miała za złe, że zabrałeś to wszystko? - spytała już co najmniej po raz trzeci.

Otarł czoło z potu.

- Już ci mówiłem co najmniej trzy razy. To, co zabra-  
liśmy, nadaje się tylko do śmietnika.

- Ale może chcieli to do czegoś wykorzystać? Będą  
wściekli, gdy zobaczą, że zniknęło.

- Nie potrzebują tego - zapewnił Macy.

- A jeżeli jednak będą potrzebowali?

Rory wsparł się o łopatę.

- Czy ktoś ci już mówił, że jesteś przewrażliwiona?

- Nie jestem przewrażliwiona - warknęła. - Po prostu  
mam sumienie. Ale wątpię, byś ty wiedział, czym jest  
sumienie.

Rory był zmęczony i zgrzany i tylko czekał na jakąś  
wymówkę, by na chwilę przerwać pracę i odpocząć.

- Dlaczego myślisz, że jestem bez sumienia?

- Bo mężczyźni tacy jak ty rzadko je mają.

Przysiadł obok niej.

- A za jakiego rodzaju mężczyznę mnie uważasz?

- Za babiarza.

- Nie widzę związku.

- Babiarz powie kobiecie wszystko, byle tylko ją uwieść,  
nawet gdyby miał kłamać. To wskazuje na brak sumienia.

- Nigdy nie używam pochlebstw, by uwieść kobietę.

Spojrzała na niego z powątpiewaniem i wstała, biorąc  
nowy słupek.

- Jak myślisz, jest wystarczająco mocny?

Pomacał słupek.

- Tak. I nie pochlebiam kobietom, by je uwieść - powiedział jeszcze raz.

Biorąc się do roboty, Macy spytała:

- A jakich sposobów używasz?

- Mówisz tak, jakbym postępował z premedytacją - poskarżył się. - Gdy kocham się z kobietą, nie planuję tego z góry. To po prostu się dzieje.

- Ach, tak - mruknęła.

- Do diabła, tak! Jest coś chemicznego, elektrycznego, co zachodzi między dwojgiem ludzi. To dzieje się samo z siebie. Nie można tego wymusić. Albo jest, albo nie ma.

- Chcesz się ze mną kochać?

Zadała to pytanie tak obojętnie, jakby pytała o godzinę.

- Eee... nie-wyjąkał.

- Dlaczego?

Zażenowany, przeczesał nerwowo włosy.

- Nie wiem. Pewnie dlatego, że nie jesteś w moim typie.

- A jaki jest twój typ?

- Lubię, żeby kobieta była miękka i kobieca.

- A ja nie jestem taka?

Wiedział, że wchodzi na niebezpieczny teren. Jeżeli nie zachowa ostrożności, może ją obrazić.

- Nie mówię, że nie jesteś atrakcyjna - tłumaczył się.

- Tylko... po prostu lubię kobiety, które mają eee... - Dla demonstracji, o co mu chodzi, złożył przy piersi dłoń w pięści.



- Tak więc nie kochałbyś się ze mną, bo mam za małe piersi?

- No, tak. Tak bym to podsumował.

Podeszła do niego.

Roześmiał się i wyciągnął rękę.

- Hej. Co chcesz zrobić?

Położyła mu ręce na ramionach.

- Coś udowodnić.

W wyrazie jej twarzy, w jej oczach, zaszła jakaś nieuchwytna zmiana. Twarz zmiękła, oczy się zamgliły. Patrzył w oszołomieniu, jak zwilża wargi językiem. Jemu samemu zrobiło się w ustach sucho, gdy zobaczył, jak teraz jej usta lśnią. Podeszła jeszcze o krok. Była blisko. Tak blisko, że czuł bicie jej serca, jakby było jego własne. Jej twarz znajdowała się teraz już tylko o centymetry od jego twarzy. Pochyliła się i musnęła ustami jego usta.

Żar. To była jego pierwsza myśl. Ale ledwo zdążył zdać sobie z tego sprawę, ona rozchyliła usta. Pożądanie. To była druga myśl. Przebiegła po nim jak smagnięcie batem, kolana mu zadrżały a plecy wygięły się w łuk. Dziękując Bogu, że Macy jednak nie jest jego przyrodnią siostrą, chwycił ją w pasie, przyciągnął do siebie i podniósł. Wsunęła ręce w jego włosy z namiętnością, od której puls mu przyspieszył, językiem przejechała po zębach.

Ciało go paliło, gardło miał zaciśnięte. Myślał tylko o tym, gdzie może ją zabrać i kochać się z nią. Nie tu, na wystawie sklepu, gdzie każdy przechodzień może ich zobaczyć. W biurze? Też nie. Nie ma tam żadnej płaskiej powierzchni prócz biurka, zasłanego papierami. Toalety! Tam są ławki. Jedna z nich posłuży za prowizoryczne łóżko.

Pozwolił, by dotknęła nogami podłogi.

- Toalety - wyszeptał i pomodlił się, by wytrzymał do tego czasu.

Niechętnie, powoli oderwała usta. Jego pożądanie przeszło w rozpacz.

- To nie będzie potrzebne - szepnęła. Jej oddech parzył mu policzek. - Chyba już udowodniłam to, co chciałam.

Przez chwilę nie mógł zrozumieć, o co jej chodzi. A gdy zrozumiał, otworzył oczy. Patrzyła na niego, uśmiechając się z zadowoleniem.

Oderwał ręce od jej talii, wściekły na siebie, że wpadł w pułapkę.

- Nic nie udowodniłaś.

- Och, chyba jednak tak. - Odwróciła się i poszła do drzwi. - Skończymy jutro! - zawołała przez ramię, a potem się zatrzymała, odwróciła i spojrzała na niego. - To znaczy wystawę - sprecyzowała i wyszła, śmiejąc się jak szalona.

Gdy następnego ranka Rory przyjechał do sklepu, Macy już tu była. Wydawała się świeża i wypoczęta. Podlewała kwiaty. A to zirytowało go do żywego. Jak ona może wglądać tak normalnie, podczas gdy on jest cały spięty i znajduje się w tym stanie od chwili, gdy go pocałowała?

- Dzień dobry! - zawołała, machając do niego ręką.

- Nie widzę w nim nic dobrego.

- Czyste, bezchmurne niebo, mnóstwo słońca. Czego więcej chcesz?

- Żebyś zniknęła mi z oczu!

- No, no, czyżbyś jeszcze ciągle był wzburzony po tym, jak cię pocałowałam?

Wsparł się rękami pod biodra.

- Pocałowałaś? Ten atak nazywasz pocałunkiem? - Ruszył do niej, z pragnieniem popełnienia morderstwa wypisanym na twarzy. - No więc na wypadek, gdybyś nie wiedziała, oświecę cię. Tu, w naszej okolicy, nazywamy to grą wstępną. Może nie wiesz, co to znaczy? Więc ci powiem. To termin, który określa stymulację zmysłów, prowadzącą do uprawiania seksu.

Zaczerwieniła się i odwróciła wzrok. Wiedział, że przez niego czuje się teraz zażenowana, ale nie zamierzał się wycofać. Niech ma za swoje, skoro on spędził z jej powodu koszmarną noc.

- I nie mówię o seksie na sposób misjonarzy - kontynuował, patrząc z zadowoleniem na jej rumieniec. - Mówię o gorącym seksie. O seksie bez żadnych zahamowań. Nie znaczy to - z lubością się nad nią znęcał - że miałbym coś przeciwko przyjacielskiemu pocałunkowi od czasu do czasu. Ale twój pocałunek był zwiastunem, obietnicą wszelkich cielesnych rozkoszy. Tylko że potem odeszłaś, nie spełniając tych obietnic. Tego rodzaju drażnienie każdego mężczyznę doprowadziłoby do szału.

Macy odwróciła się i zabrała do podlewania drzew.

- Nie zamierzałam doprowadzać cię do szału - powiedziała, patrząc na wylot węża. - Chciałam tylko coś udowodnić - dodała z uporem.

- Co? - Podrapał się w głowę, jakby nie mógł jej zrozumieć. - Musisz odświeżyć mi pamięć. Co właściwie chciałaś udowodnić?

- Powiedziałaś, że nie mógłbyś się ze mną kochać, a ja udowodniłam, że jednak mogłoby się to zdarzyć.

Wyciągnął w jej kierunku palec, jakby sobie coś przypominał.

- Ach, rzeczywiście. - Skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na nią wyzywająco. - Nic nie udowodniłaś.

- Z całą pewnością tak!

- Nie - sprzeciwił się uprzejmie. - Po to, by coś udowodnić, musielibyśmy się kochać, a o ile dobrze pamiętam, do tego nie doszło.

- Ale chciałeś tego - oskarżyła go z furją.

- To, co chcę, i to, co robię, to dwie całkiem różne rzeczy. I dopóki nie będziemy się kochać, nie udowodnisz niczego.

Dotknął palcem brzegu kapelusza i odszedł przekonany, że udało mu się zepsuć to, co nazwała pięknym dniem.

Rory zatrudnił Jimmy'ego, ucznia liceum, do pomocy Macy w dekorowaniu wystawy. Nie dlatego, że sam nie chciałby pracować razem z nią, lecz dlatego, że miał jeszcze mnóstwo do załatwienia przed otwarciem sklepu, przewidzianym na za dwa dni.

Minęła już piąta, gdy usłyszał pukanie do drzwi gabinetu.

- Proszę! - zawołał, myśląc, że to kierownik sklepu.

- Czy zamierzasz dotrzymać swojej części umowy?

Uniósł wzrok. Na progu stała Macy, twarz miała ponurą. Zadowolony, że nie odzyskała dobrego humoru, jakim chełpiła się rano, odchylił się w krześle i splótł ręce na piersi.

- A jaką umowę masz na myśli? - spytał, chociaż doskonale to wiedział.

- Zgodziłeś się pomóc mi odszukać mojego ojca.

- Faktycznie. - Usiadł prosto, wyjął z szuflady kartkę i podał jej. - Sheila Tompkins. Wyszła za Teda Sawyera i mieszka teraz w Burnet.

Macy wyrwała mu kartkę z ręki, przeczytała, a potem spojrzała na niego podejrzliwie.

- Skąd wiesz, że to właśnie ta Sheila?

- Od Maw Parker. To największa plotkara w okolicy. Jeżeli chcesz się czegoś dowiedzieć, po prostu spytaj Maw.

- Pytałeś ją o moją matkę?

- Tak. Pamięta ją, ale nic nie wiedziała o tym, że spodziewała się dziecka.

Macy schowała kartkę do kieszeni kombinezonu.

- Skończyliśmy z Jimmym wystawę - mruknęła. - Może chcesz spojrzeć, zanim wyjadę, i upewnić się, że o to ci właśnie chodziło?

- Dobry pomysł - zgodził się.

Poprowadziła go na parking i wskazała okno. Rory nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przemiana była nieprawdopodobna.

- Do licha - szepnął zachwycony. - To przechodzi wszelkie wyobrażenie.

- Więc jesteś zadowolony?

- Zadowolony? - Klepnął ją po plecach. - Jestem wniebowzięty! To jest doskonałe. Absolutnie doskonałe, aż do ostatniego kaktusa, tam, w kącie. - Podeszedł bliżej, by przyjrzeć się szczegółom. - To prawdziwa trawa? - spytał.

- Tak. Tutejsza. I wszystkie rośliny są prawdziwe. Trzeba będzie dopilnować podlewania. Na razie dałam instrukcje Jimmy'emu.

- Gdzie to wszystko kupiłaś?

- Tu i tam - wzruszyła ramionami.

Sięgnął po portfel.

- Ile ci jestem winien?

- Nic. Jesteśmy kwita - powiedziała i odeszła.

- Jak to? - zawołał za nią. - Przecież muszę za to zapłacić.

- Dałeś mi wskazówkę - powiedziała, poklepując się po kieszeni. - I to wystarczy.

Po wyjściu ze sklepu Rory pojechał na ranczo, by rzucić okiem na dom. Mówił sobie, że nie powinien czuć się winny za to, że zostawił Macy samą. Przecież nie wykręcał się od zobowiązań. Jednak sumienie miał jakoś dziwnie nieczyste, chociaż Macy zapewniła go, że dotrzymał umowy, gdy podał jej adres Sheili Tompkins.

Ale mimo całego tego rozsądnego myślenia nie potrafił się powstrzymać przed sporządzaniem bilansu. Po jednej stronie stawiał to, co ona dla niego zrobiła, a po drugiej własne dokonania. Po jego stronie były dwie pozycje: wizyta u Dixie i telefon do Maw Parker, dzięki któremu uzyskał adres Sheili Tompkins. Po stronie Macy też figurowały dwie pozycje: zagospodarowanie terenu i dekoracja wystawy.

Ale chociaż w liczbach było dwa do dwóch, nie trzeba było specjalnego geniuszu, żeby stwierdzić, że jeśli chodzi o ciężar przysług, szala przechylała się na stronę Macy.

Ale ona stwierdziła, że są kwita, powiedział sobie stanowczo i zmusił się do skoncentrowania uwagi na tym, co dziś zrobili robotnicy w jego domu. Kuchnia, łazienki i ubikacje były już gotowe. Instalacja elektryczna założona. Jeszcze dwa tygodnie, najwyżej miesiąc i będzie można tu mieszkać. Czteryście pięćdziesiąt metrów kwadratowych pod dachem i około stu w werandach i patiach. Więcej przestrzeni niż liczyły wszystkie jego wynajęte mieszkania razem wzięte, i więcej niż potrzeba samotnemu mężczyźnie. Jego nowy dom jest taki wielki, że chyba pomieściłby tuzin takich przyczep, w jakich mieszka Macy.

Złoszcząc się na siebie, zrobił w tył zwrot. Znowu Macy!

Gdy wracał do drzwi wejściowych, jego kroki odbijały się głuchym echem po pustych pomieszczeniach. Tyle miejsca dla samotnego mężczyzny? Niesamowite, że w ogóle przyszło mu do głowy, i to dwa razy, słowo „samotny”. Parsknął niewesołym śmiechem, przypominając sobie, jak bardzo w dzieciństwie bał się zostawać sam. Bracia go wyśmiewali. Nawet kilka razy specjalnie stworzyli takie sytuacje, by pomyślał, że jest sam, a potem śmiali się, gdy się bał. Ale tamte dni dawno już minęły. Teraz już się nie bał być sam. I chyba zawdzięczał to braciom. Wyleczyli go z tej fobii. Upokorzenie to świetne lekarstwo.

Podszedł do okna i zapatrzył się na krajobraz. Serce mu rosło na widok rancza. Bydło pasło się spokojnie na gęstej, świeżej trawie. Ogrodzenie biegło na kilometry wokół, aż na niskie wzgórza, porośnięte cedrami i krzakami. Raj dla

dzikiej zwierzyny. W tej właśnie chwili słońce zachodziło, malując niebo czerwieniami i złotem. Dobrze być z powrotem w domu. I dobrze mieć dom. Miał pięć mieszkań, w rozmaitych miastach, w których prowadził sklepy. Ale żadne z tych mieszkań nie było domem. Były to tylko miejsca, w których mógł zostawić najpotrzebniejsze rzeczy i przespać się. Ale to, pomyślał, patrząc na piękny widok, to jest dom. Miejsce, w którym wyrósł. Miejsce, gdzie chce mieszkać do końca życia. Miejsce, gdzie może założyć rodzinę. Blisko braci, z ich dziećmi i swoimi własnymi, które będą rosły, zbierając wspólne wspomnienia, tak samo jak on i jego bracia w przeszłości.

Zmarszczył czoło, zastanawiając się, jakiego rodzaju wspomnienia może mieć Macy. Jego zdaniem wyrastanie bez rodzeństwa było smutne. Nikt cię nie skrzyczał, gdy zrobiłeś coś głupiego, nie poklepał z uznaniem po plecach, gdy coś ci się udało. Nikt nie wyśmiewał twoich strachów. Nikt z tobą nie rozmawiał, gdy czułeś się samotny albo po prostu musiałeś się wygadać. Tak więc z kim ona rozmawia, gdy potrzebuje się wywnętrzyć? Nie ma rodzeństwa, matka i ojczym nie żyją. Nie ma żadnej rodziny, do której mogłaby się zwrócić, nikogo, kto pomógłby jej w kłopotach.

Jednak, jeżeli wskazówka, jaką jej dał, okaże się pomocna, może wkrótce odnaleźć ojca i znów mieć rodzinę - oczywiście, jeżeli on jeszcze żyje i zechce ją uznać. Za dużo tych „jeżeli”. Niech choć jedno zawiedzie, Macy pozostanie w miejscu, z którego zaczęła. Sama.

Rory dobrze pamiętał jej stan emocjonalny po rozmowie z Dixie. Chociaż tak bardzo się starała nie dać mu poznać, co czuje, załamana się przy nim. Rory potarł ręką



przód koszuli, przypominając sobie, jak jej łzy moczyły mu gors. Jakie były gorące. Jak waliło jej serce. Kto ją przytuli, jeżeli po spotkaniu z Sheilą znów się załamie? Prawdopodobnie siedzi teraz w tej swojej przyczepie, nie większej niż pudełko zapalek, i wypłakuje z siebie duszę.

Uderzył pięścią w futrynę. Powinien być z Macy, powiedział sobie gniewnie. Powinien dotrzymać umowy. Obiecał, że pomoże jej znaleźć ojca, a to znaczyło, że będzie z nią, póki go nie znajdzie, a nie tylko poda czyjeś nazwisko czy adres i wyśle ją na samotne poszukiwania.

A znając Macy, na pewno nie traciła czasu i już pojechała do Burnet, do Sheili Tompkins. Przecież jest niecierpliwa, uparta i subtelna jak buldożer.

Finezja. Tego właśnie w tej sytuacji było trzeba, a finezja to była mocna strona Rory'ego. Zaciskając usta, wyszedł z domu. Pomoże jej. Chociaż pewnie każe mu się wynosić, powie, że nie chce jego pomocy, tak samo jak za pierwszym razem.

Ale jeżeli tak się stanie, to będzie fatalnie. Ta kobieta nie ma żadnej rodziny. Nikogo, do kogo mogłaby się zwrócić. Była zupełnie sama na świecie.

Rory wiedział, jak to jest, gdy człowiek jest sam, a strach chwyta za gardło. Bracia może i wyleczyli go z jego fobii, ale nie zapomniął, co się wtedy czuje.

I nikt nie powinien przeżywać takiego strachu w samotności.

Macy siedziała z rękami wciśniętymi między kolana, starając się nie pokazać po sobie niecierpliwości, gdy czekała na odpowiedź Sheili.

- W ciąży? - zdziwiła się Sheila. - Coś podobnego! Nie miałam pojęcia. Daria Jean nic mi nie mówiła, że jest w ciąży. Powiedziała tylko, że wyjeżdża z Tanner's Crossing i jedzie poszukać sobie bogatego męża.

Macy próbowała nie pokazać po sobie rozczarowania.

- Wyszła za męża. A jeśli chodzi o bogactwo... To też osiągnęła. Mój ojczym miał mnóstwo pieniędzy, chociaż był straszliwie skąpy.

Sheila roześmiała się.

- Och. No to Daria Jean musiała być wkurzona! Chciała mieć hojnego mężczyznę i nie miała cierpliwości do skąpców.

Macy sama o tym wiedziała. Z własnego doświadczenia znała wyjątkowy egoizm matki.

Mając nadzieję, że w ten sposób pobudzi pamięć Sheili, spytała:

- Czy w czasie, kiedy się przyjaźniłyście, w życiu matki był jakiś szczególny mężczyzna?

Sheila łagodnie położyła jej rękę na kolanie.

- Och, skarbie. Chcesz, żebym ci powiedziała, kto był twoim ojcem, ale naprawdę tego nie wiem. Daria Jean lubiła mężczyzn, a oni lubili ją. Nigdy jednak nie widziałam, by była specjalnie zainteresowana tylko jednym.

Zmuszając się do uprzejmego uśmiechu, Macy wstała.

- No, chyba już pójdę. Zająłem dosyć czasu. Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną porozmawiać.

Sheila objęła Macy za ramiona i odprowadziła do drzwi.

- Skarbie, cieszę się, że cię zobaczyłam. Szkoda tylko, że w niczym nie mogłam ci pomóc. I wątpię, by ktoś znał odpowiedź na twoje pytania. Wyjeżdżając stąd, Daria Jean

zerwała wszystkie kontakty z ludźmi z Tanner's Crossing. Ze mną też.

Już przy drzwiach Macy się zatrzymała.

- Gdyby przyszło pani coś do głowy... - zaczęła.

- Mam twój telefon i na pewno zadzwonię.

Macy siedziała już w dziupie, gdy Sheila wybiegła z domu.

- Macy, zaczekaj!

Sheila wrzuciła jej przez okienko blaszaną puszkę.

- To zdjęcia naszej paczki z tamtych czasów. Nie wiem, czy ci w czymś pomogą, ale na pewno chciałybyś je mieć.

- Dziękuję - powiedziała Macy z radością. - Zrobię odbitki i oddam oryginały.

- Nie, zatrzymaj wszystko. Mojemu mężowi nigdy się nie podobało, że trzymam je w domu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Z otwarciem puszkę Macy czekała, aż dojedzie do przy-  
czepy. Chciała obejrzeć zdjęcia w spokoju. Nie spodzie-  
wała się wprawdzie znaleźć jakiejś wskazówki co do toż-  
samości swojego ojca, ale może dowie się czegoś o prze-  
szłości matki. Chociaż wcale nie była pewna, czy rzeczy-  
wiście tego chce.

Dojeżdżając do miasta, zamiast skrócić w objazd pro-  
wadzący do parkingu, wjechała do śródmieścia i skiero-  
wała się do sklepu Rory'ego. Powiedziała sobie, że nie  
wybrała tej drogi po to, by go zobaczyć. Chciała jedynie  
rzucić okiem na efekty swojej pracy.

Zatrzymała się. Z radością stwierdziła, że rośliny mają  
się dobrze. Ale gdy zobaczyła, że parking jest pusty, po-  
czuła rozczarowanie.

No, trudno, pomyślała i ruszyła. Nawet gdyby Rory tu  
był, nie miałyby odwagi, by do niego wpaść. Jasno powie-  
dział, że nie chce mieć z nią więcej do czynienia, a ona  
nie będzie mu się narzucać.

Ale nawet gdyby się w ten sposób z nim drażniła,  
w chwili gdy go całowała, nie myślała, by go uwieść.  
Pocałowała go po to, by udowodnić swoje racje. Obrzął  
ją, doprowadził do furii swoim stwierdzeniem, że nie jest

w jego typie, że lubi kobiety delikatniejsze, bardziej kobiece. Z większymi piersiami.

Zupełnie jakby potrzebowała, by ktoś jej mówił, że nie ma takiej figury, za którą mężczyzna poszedłby w ogień. Przecież ma lustro. Przez całe życie widziała, jak matka trzepocze rękami i pokazuje dekolt, by uzyskać od mężczyzn to, czego chciała, ale ona, Macy, nie będzie się tak poniżać. Za wykorzystywanie swoich damskich atutów kobieta płaci wysoką cenę. Zaciąga u mężczyzny dług, staje się słaba, zależy od jego dobrej woli i kaprysów. A Macy nie zamierzała dać się złapać w taką samą pułapkę, w jaką wpadła jej matka. Ma rozum i inicjatywę. Te dwie cechy już pomogły jej dojść do miejsca, w którym znajduje się teraz, a przecież jest dopiero na początku drogi. Zajdzie o wiele dalej. I nie stanie się taką bezbronną istotą jak jej matka. Nawet gdyby miała do tego odpowiednią budowę ciała, na pewno nigdy taka rola by jej nie odpowiadała.

Ale to, że nie uznawała uwodzenia jako formy wymiany usług z mężczyznami, nie znaczyło jeszcze, że czuje do nich awersję. Albo do pocałunków. Czy do seksu. Jest kobietą i ma te same pragnienia jak inne.

A nigdy jeszcze nie była bardziej świadoma tych pragnień niż w chwili, gdy Rory odwzajemnił jej pocałunek.

Westchnęła. Krew jej zawrzała na samo wspomnienie. Jak on potrafi całować! Przy nim inni mężczyźni wyglądają na zwykłych amatorów. I te ręce: silne, zręczne, takie męskie, ciało twarde jak skała, twarz jak marzenie rzeźbiarza. I uśmiech, który miał moc rujnowania nawet najbardziej stanowczych postanowień. Teraz niemal mogła

zrozumieć, dlaczego jej matka próbowała zmusić Bucka do małżeństwa. Jeżeli ojciec był choć trochę podobny do syna, ciężko byłoby mu nie ulec.

I to jest wystarczający powód, by trzymać się z daleka od Rory'ego, powiedziała sobie, skręcając na parking.

Więc dlaczego nadal ma tę nieprzepartą chęć zobaczenia Rory'ego? Dlaczego pragnie, by...

Na widok pikapa Rory'ego zaparkowanego naprzeciwko przyczepy jej myśli rozpiezchły się jak liście na wietrze. Co on tu robi? - pomyślała spanikowaną.

Zanim zdążyła zaparkować swojego dżipa, już do niej szedł tym swoim leniwym, długim krokiem. W spłowiałych dżinsach i bawełnianej koszuli, niebieskiej jak jego oczy, wyglądał tak, że chciałoby się go schrupać. A to nieuczciwe z jego strony, skoro właśnie uznała, że trzeba się trzymać od niego jak najdalej.

- Co tu robisz? - spytała podejrzliwie.

Wzruszył ramionami.

- Pomyślałem, że sprawdzę, co u ciebie. Byłaś w Burnet?

Przypominając sobie swoją wizytę u Sheili, przycisnęła torebkę z puszką do piersi.

- Byłam.

- Tak właśnie myślałem. Nie lubisz tracić czasu, co? - zauważył z rozbawieniem.

- Nie było na co czekać.

Spojrzał jej w oczy, a po niej przebiegł dreszcz. Rozbawienie zniknęło z jego twarzy, pozostało coś niebezpiecznie podobnego do współczucia.

- Chcesz mi opowiedzieć, jak poszło?

- Niespecjalnie.

- Jadłaś już?

Wytracona z równowagi przez to niespodziewane pytanie, pokręciła głową.

- No to może byśmy kupili coś na wynos i pojechali do mnie, na ranczo? Zobaczysz dom, jaki sobie buduję.

Rozsądek mówił jej, że trzeba odmówić. Czyż dopiero kilka minut temu nie wytłumaczyła sobie, że to nie jest typ męzczyzny, z jakim chciałyby się związać?

Wypuściła powietrze, które do tej pory wstrzymywała.

- Dobrze - powiedziała ku swojemu zdziwieniu.

Z wiaderkiem smażonego kurczaka i Macy na siedzeniu pasażera, Rory jechał do swojego domu. Droga była pełna wykrotów i kolein, pikap co chwilę to wpadał w dół, to podskakiwał wysoko w górę.

- Przepraszam za taką jazdę - powiedział Rory. - Czekam, aż dom będzie skończony, żeby się zabrać za drogę. Ciężarówki z dostawami od nowa by ją zniszczyły.

- Pewnie tak.

- Już niedaleko - pocieszył ją. - Jeżeli spojrzysz w kierunku tamtej kępy drzew, zobaczysz czubki kominów.

- Och - sapnęła Macy, gdy dom w całej okazałości ukazał się jej oczom. - Jest piękny.

Zadowolony z jej pochwały, Rory zaparkował i chwycił wiaderko z kurczakiem.

- Chodźmy do środka. Oprowadzę cię. Ale uważaj, jak idziesz, bo wszędzie tu walają się jeszcze materiały budowlane.

Nagle usłyszał, jak Macy coś ze złością mruczy pod

nosem. Obejrzał się na nią. Usiłowała wyciągnąć kawał dykty z krzaków.

- Co robisz? - zdziwił się.
- Staram się uratować ten krzak.

Podszedł do niej.

- Obawiam się, że schludność nie jest mocną stroną mężczyzn. Jest tu śmieciarka, ale robotnicy rzadko jej używają.

Macy odrzuciła na bok dyktę i uklękła, by obejrzeć krzak.

- Och, biedactwo - uzaliła się, próbując wyprostować pochylone gałązki.

Rory wziął ją za rękę i pociągnął na nogi.

- Nie przejmuj się nimi. Gdy budowa zostanie skończona, zatrudnię architekta krajobrazu, żeby wszystko tu uporządkował.

- Ale wtedy będzie już za późno - powiedziała z żalem.

Rory otworzył drzwi i przepuścił Macy.

- Tak myślisz?

- Jeżeli w czasie budowy nie podejmie się odpowiednich środków, korzenie drzew zostaną uszkodzone, a naturalna roślinność zniszczona.

Rory podał jej wiaderko, przysunął dwa puste opakowania po farbie i zaprosił ją, by usiadła. Sam usadowił się naprzeciwko.

- Czy można teraz jeszcze coś zrobić? - spytał.
- Poza wyrzuceniem wszystkich robotników?
- Nawet jeśli są bałaganiarzami, są też doskonałymi rzemieślnikami i dobrze wykonują swoją robotę.



Macy wyjęła udko kurczaka i podała wiaderko Rorry'emu.

- Więc musisz dopilnować, żeby nie narobili więcej szkód. Najpierw trzeba uporządkować teren. Następnie zastraszyć robotników. Zagrozić, że obniżysz im wypłaty, jeżeli nie będą używać śmieciarki. I na koniec, albo właściwie nawet od razu, zatrudnij architekta krajobrazu. Kogoś z doświadczeniem jeśli chodzi o pracę przy budowach, żeby wiedział, jakie środki ostrożności podjąć. Kogoś, kto się nie zawaha nawymyślać robotnikom, gdy ich przyłapie na niszczeniu roślin.

- A znasz kogoś takiego? - spytał domyślnie.

- To nie była wskazówka, żebyś zatrudnił mnie.

Rory zjadł trochę kurczaka.

- Najwyraźniej masz odpowiednie kwalifikacje i, z tego co widziałem, nie zawahałabyś się stawić czoła komukolwiek, kto nie myśli tak jak ty.

Macy wydeęła usta.

- Nie wiem, czy chciałeś mi pochlebić, czy mnie obrazić.

Śmiejąc się, Rory wrzucił kość kurczaka do pustej puszki.

- Pochlebić. Jeżeli chcesz, możesz od razu zaczynać pracę.

Macy wstała i podeszła do okna. Zagryzała usta, najwyraźniej skuszona ofertą.

- To poważne przedsięwzięcie - mówiła, myśląc na głos. - Musiałabym dokonać pomiarów terenu. Sporządzić wstępny projekt. Sprawdzić, które rośliny ocalały. Wyrwać te, których już nie można uratować. A to oznacza, że potrzebowałabym narzędzi. - Spojrzała przez ramię na

Rory'ego. - Wszystko, co zachowałam, likwidując firmę, oddałam na przechowanie do magazynu. Przy sobie mam tylko to, co kupiłam, kiedy zajmowałam się otoczeniem twojego sklepu.

- Możesz kupić wszystko, co ci będzie potrzebne. Mam rachunki we wszystkich sklepach w mieście.

Patrzyła na niego przez długą chwilę, a potem znów odwróciła się do okna.

- A jeżeli nie będę tu wystarczająco długo, żeby skończyć pracę?

- Zadowolę się każdym czasem, jaki dla mnie przeznaczysz.

Jeszcze jakiś czas się zastanawiała, a potem zaczerpnęła głęboko powietrza.

- Zgoda. Biorę tę pracę.

- Miałem taką nadzieję - powiedział i puścił do niej oko.

Macy z powrotem usiadła na opakowaniu po farbie i wybrała sobie następny kawałek kurczaka.

- Przypuszczam, że chciałbyś zachować jak najwięcej z naturalnego krajobrazu. Układ terenu jest idealny, no i mamy całą tę roślinność, którą trzeba tylko uporządkować. Już tylko dzięki temu oszczędziłyś mnóstwo pieniędzy.

- To ty jesteś tu szefem. Rób tak, jak uważasz, że będzie najlepiej.

Macy w zamyśleniu jadła kurczaka.

- Oczywiście trzeba będzie podkreślić walory krajobrazu. Stworzyć malownicze miejsca. Oczka wodne zawsze dodają uroku, ale ich utrzymanie kosztuje. A biorąc

pod uwagę położenie domu, na pewno jest tu mnóstwo dzikiej zwierzyny. Czy jelenie przysparzają kłopotów?

Rory z trudem nadażał za jej wypowiedzią. Właśnie czubkiem języka zlizywała z kącika ust kawałeczek kurczaka.

- Jelenie? - powtórzył.

- Chyba macie jelenie na ranczu, prawda? - Przerwała, żeby zlizać upartą drobinę. - Wydaje mi się, że biorąc pod uwagę wszystkie te lasy i pastwiska, jelenie traktują ten teren jak swój bufet.

- Tak, chyba tak - powiedział bezmyślnie, bo jak zaczarowany wpatrywał się w jej usta.

- Oczywiście istnieją sposoby na to, by uniemożliwić jeleniom wejście na teren i niszczenie roślinności. Na przykład wyższe ogrodzenia, ale tego bym nie polecała. Jeżeli lubisz patrzeć na jelenie i tylko chcesz uniemożliwić im pasienie się koło domu, można zasadzić rośliny, których nie jadają.

Już jej nie słyszał, nie rozumiał jej słów. Myślał o tym, jak go całowała, o tym, jak czuł jej usta na swoich wargach... o jej smaku... o sposobie, w jaki jej ciało zmysłowo się poruszało...

- Rory? Rory!

Wzdrygnął się.

- Co?

- Dobrze się czujesz?

- Tak. Dobrze. Dlaczego pytasz?

Wzięła serwetkę i, przyglądając mu się podejrzliwie, wytarła ręce.

- Miałeś taki... nie wiem. Patrzyłeś na mnie tak, jakbyś się zastanawiał nad następnym posiłkiem.

Musiał się uśmiechnąć. Dokładnie określiła jego uczucia.

- Bo wyglądasz bardzo smakowicie.

- Więc może zjedz to udko, które ciągle jeszcze trzymasz w ręce. Na pewno jesteś głodny - zaproponowała ze śmiechem.

Ale Rory wrzucił udko z powrotem do wiaderka. Apetyt mu minął, a przynajmniej apetyt na kurczaka.

- Twoje usta byłyby smaczniejsze.

Zastygła, a potem powoli się wyprostowała.

- Dlaczego tak mówisz?

- O tym właśnie myślałem.

- No to lepiej pomyśl o czymś innym.

Rory pochylił się, oparł łokcie na kolanach i uśmiechnął się złośliwie.

- Czy czujesz się nieswojo, wiedząc, że myślę o twoich ustach?

Już wstawiała, jakby gotując się do ucieczki.

- No... tak. A ty byś się nie czuł nieswojo?

- Zależy, o czym byś myślała. A teraz, na twoim miejscu. .. - Wstał, pociągnął ją i objął lekko w pasie. - Cieszyłbym się.

Jego twarz znajdowała się tylko o kilka centymetrów od jej twarzy. Macy nie pozostało nic innego, jak tylko myśleć o jego ustach. Pełna dolna warga, górna rzeźbiona w idealny łuk. Jeden kącik w naturalny sposób wyginał się do góry, jakby Rory'ego bawił jakiś prywatny żart.

Zamknęła oczy i sapnęła, przypominając sobie uczucia, jakich doznawała, gdy te usta dotykały jej ust, i pragnąc, by pocałował ją jak najszybciej.

Poczuła ciepło oddechu na twarzy, leciutkie jak piórko muśnięcie jego ust na swoich wargach, a potem pocałunek, od którego zabrakło jej tchu, usłyszała niski pomruk rozkoszy. Rory wzmocnił uścisk na jej talii, przyciągnął ją bliżej i pogłębił pocałunek.

Fale rozkoszy przepływały przez Macy. Zahipnotyzowana tą rozkoszą - i nim - jęknęła z rozczarowania, gdy się odsunął.

- Słońce niedługo zajdzie - powiedział, biorąc ją za rękę. - Mam w samochodzie koc. Chodźmy na dwór i popatrzmy na zachód słońca.

Otumaniona, poszła za nim. Nie mogła myśleć o niczym innym, jak tylko o tym, że już jej nie całuje. A ona chciała, by ten pocałunek trwał i trwał...

Rory wziął koc z pikapa i poprowadził Macy na niskie wzgórze. Tam rozłożył koc i usiadł.

- Chodź - ponaglił, biorąc ją znów za rękę. - Bo stracisz cały widok.

Usiadła obok niego i popatrzyła na zachód, gdzie wielka kula ognia zniżała się ku horyzontowi.

- Och! - szepnęła zachwycona. - To naprawdę coś...

Siedzieli w milczeniu, a słońce powoli zsuwało się ku horyzontowi, malując niebo krwistymi kolorami. Ciszę zakłócało tylko granie cykad, od czasu do czasu zamuczała jedna z pasących się w pobliżu krów.

Po chwili Macy uświadomiła sobie, że Rory delikatnie głaszcze ją po łydce. Była pewna, że robi to nieświadomie, ale i tak ogarnęły ją fale gorąca. Spojrzała na niego i stwierdziła, że on też patrzy na nią. Serce na chwilę przestało jej bić. Patrzył tak miękko i ciepło.

Wyciągnął rękę i założył jej za ucho pasmo włosów.

- Kiedy zobaczyłem cię po raz pierwszy, pomyślałem, że wpadłaś w ręce strzygącego owce.

Obrażona, chciała się cofnąć, ale objął ją za kark i przytrzymał.

- Ale muszę powiedzieć, że ten styl chwyta za serce.

- Pociągnął ją tak, że położyła się obok niego. Potarł nosem jej nos. - Ty chwyciłaś mnie za serce.

Zastygła, patrząc mu w oczy.

Pochylił głowę, pocałował ją w szyję i znów ją uniósł.

- Co to za perfumy? Jakaś nuta kwiatowa, ale nie są tak mdląco słodkie...

- To... - musiała odchrząknąć. - To nie perfumy. To woda lawendowa.

- Nigdy o tym nie słyszałem.

- Można ją dostać w specjalistycznych sklepach, ale ja sama ją sobie robię.

Rory położył się na plecach, podkładając rękę pod głowę.

- Zawsze sądziłem, że jesteś utalentowana. A teraz to udowodniłaś.

Roześmiała się.

- Każdy może sobie zrobić lawendową wodę.

- Jesteś jedyną kobietą, jaką znam, która to robi. Przez to jesteś wyjątkowa. Jedyna w swoim rodzaju.

Zakłopotana uniosła rękę, a potem ją opuściła.

- To już coś.

- Jest w tobie tyle wyjątkowych cech. - Uniósł jej rękę i przyjrzał się. - Na przykład te ręce. Wiesz, o czym myślę, gdy na nie patrzę?

Skuliła palce, by ukryć obgryzione paznokcie.

- O czym? Że wyglądają jak ręce polowego robotnika? Patrząc jej w oczy, przyciągnął jej rękę do ust i pocałował.

- Nie. Zastanawiam się, jak by to było, gdyby mnie dotykały.

Zabrakło jej tchu. Uśmiechając się, przytulił jej rękę do piersi.

- Pokażesz mi?

- Ja... myślę, że nie.

Pochylił się i musnął ustami jej wargi.

- Więc nie myśl. Zarezerwuj myślenie na sprawy umysłu. A to, co teraz się dzieje, jest czysto fizyczne.

Przykrył jej rękę swoją dłonią.

- Gorąca - szepnął. - Nawet mimo materiału twoja ręka pali mi pierś. - Znów dotknął ustami jej ust i sięgnął do pierwszego guzika koszuli. - Sprawdźmy, jak będę to czuł na gołej skórze.

Muskając jej usta, powoli odpinał kolejne guziki. A potem rozpiął pasek, wyciągnął poły koszuli i szybko odpiął ostatni guzik. Macy nie czekała na zaproszenie. Natychmiast rozpostarła ręce na jego piersi. Usłyszała cichy pomruk rozkoszy, poczuła drżenie ust przy swoich ustach. Nie mogąc się powstrzymać, przesunęła ręce do góry, zsunęła mu koszulę z ramion i z powrotem przesunęła ręce w dół.

Rory pomyślał, że może i on zaczął całą rzecz, ale to ona przejęła wodze. Teraz ona go całowała. Wydawało się, że jej ręce są wszędzie - głaskały pierś, obejmowały twarz. Usiadła na nim. Rory chwycił ją w pasie. Był niemal w szoku. Nigdy by nie pomyślał, że w tej delikatnej

kobiecie jest tyle namiętności. Była taka... gorąca. Taka agresywna. Ale nie zamierzał tracie ani sekundy na rozmyślanie o tej rewelacji. Zamierzał się nią rozkoszować.

Skoncentrowany na swoim celu, ułożył ją wzdłuż siebie, pragnąc czuć każdy szczegół tej nieodpartej i całkowicie zadziwiającej strony jej osobowości, jaką właśnie odkrył.

Chociaż noc pod gwiazdami w towarzystwie Macy wcale nie byłaby taka zła, Rory'emu brakowało domowych wygod. Zaproponował więc, by pojechali do przyczepy.

Łóżko w przyczepie przypominało raczej pryczę i musieli leżeć ciasno w sobie wtuleni, żeby się na nim zmieścić. Ale Rory'emu to całkiem odpowiadało. Miał przy sobie gorące ciało Macy, jej głowa spoczywała na poduszce obok jego głowy.

Rano obudził się pierwszy. Leżał jeszcze przez chwilę, ogarnięty radością, że znalazł się w jej łóżku. Ale miał przed sobą ciężki dzień, zostało mu jeszcze mnóstwo do załatwienia przed wielką uroczystością, jaką planował na otwarcie sklepu.

Wiedząc, że nie powinien już dłużej leniuchować, wcisnął nos w kuszące zagłębienie między ramieniem i szyją Macy.

- Pobudka! Słońce już wstało! - szepnął, całując ją.  
- Czas, żebyśmy i my wstali.

Macy przeciągnęła się jak kotka, wygięła plecy w łuk, nogami przesunęła po jego nogach. Potem jęknęła i znów opadła na posłanie.



- Która godzina? - mruknęła sennie.

- Kwadrans po szóstej.

Macy naciągnęła kołdrę aż po samą brodę i zakopała się głębiej w pościeli.

- Nawet koguty nie wstają tak wcześnie - poskarżyła się.

Roześmiał się i wycisnął pocałunek na jej gołym ramieniu.

- Ten kogut wstaje - poinformował ją, wygrzebując się z łóżka. - Za dwa dni otwieram sklep i dziś czeka mnie jeszcze mnóstwo przygotowań.

Ułożyła się wygodnie w miejscu, które zwolnił.

- Zaproponowałabym ci, że zrobię śniadanie, ale nie jestem najlepszą kucharką.

Rory wciągnął spodnie.

- Nie poczęstujesz mnie choćby filiżanką kawy?

- Jeśli muszę... - Usiadła na brzegu łóżka i potarła twarz, by otrzeźwieć.

Rory w jednej chwili zapomniał o kawie. Tworzyła obrazek o wiele bardziej kuszący niż perspektywa kofeiny. Odrzucił koszulę, którą już miał włożyć, przykleknął na łóżku i położył ją na pościeli.

- Może później - szepnął, kładąc się obok niej. - Teraz mam apetyt na ciebie.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na tym właśnie polega problem z fizyczną stroną stosunków z facetem, powiedziała sobie Macy, wykopując wąski rów wokół drzewa za domem Rory'ego. Jeżeli seks jest dobry, nie możesz przestać myśleć o facecie. Jeżeli jest nieudany, po prostu więcej o nim nie myślisz. Ale gdy jest fantastyczny, sprawa się komplikuje. Bo wtedy zaczynasz szukać sposobów na to, by dostać więcej.

A seks z Rorym okazał się fantastyczny. I dlatego nie potrafiła nawet przez krótką chwilę myśleć o czymś innym. Nawet gdy jej się to udawało, już po sekundzie znów od nowa przeżywała te czarowne chwile.

Niestety, akurat teraz nie mogła pozwolić sobie na marzenia na jawie. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na malarza, który właśnie wychodził z domu przez kuchenne drzwi. Gdy dziś rano przyjechała na teren posesji i zobaczyła najętych przez Rory'ego robotników, od razu wiedziała, że będzie miała kłopoty. Już przedtem pracowała z takimi typami. Ograniczonymi, pewnymi siebie macho.

Przedstawiła im się, powiedziała, że Rory zatrudnił ją jako architekta krajobrazu i że ma jego pozwolenie, by wyrzucić każdego, kto będzie rzucał odpadki na roślinność

albo w inny sposób ją niszczył. Trochę nagięła prawdę, ale chciała napełnić ich serca bożą bojaźnią, a to jej zdaniem usprawiedliwiało kłamstwo.

Chociaż cały czas kopała, udając, że jest zajęta, miała jednocześnie malarza na oku. Właśnie odstawił wiaderko z pędzlami, i wiadomo było, co zaraz zrobi. Wyczyści pędzle, a potem wyleje terpentynę na ziemię. Widziała takie rzeczy już tysiące razy. To była szybka, łatwa metoda pozbywania się niepotrzebnych chemikaliów, ale niemal nieodwracalnie niszczyła glebę i korzenie roślin.

Dobra chwila na to, by dać tym ludziom do zrozumienia, że muszą się stosować do jej zasad, pomyślała. Oparła łopatę o drzewo i spokojnie podeszła do malarza. Właśnie zabierał się do wylania terpentyny z wiaderka.

- Na twoim miejscu bym tego nie robiła.

Wzdrygnął się, a potem obrzucił ją wściekłym spojrzeniem i znów przechylił wiaderko.

- A kto mi zabroni?

- Ja - powiedziała, chwytając go za ramię.

Obrzucił ją lekceważącym spojrzeniem.

- Musiałabyś wezwać na pomoc drużynę zawodników sumo. - Spróbował strząsnąć jej rękę z ramienia. - Zejdz mi z drogi. Jest piąta i wybieram się na piwo.

- Zwolnię cię, jeżeli wylejesz terpentynę na ziemię - ostrzegła.

Parsknął pogardliwie.

- Nie przyjmuję rozkazów od kobiet. Zatrudnił mnie Rory Tanner i tylko on może mnie zwolnić.

- No, to się jeszcze okaże. - I zanim się zorientował, zahaczyła nogą jego nogę przy kostce i szarpnęła. Zdażyła

jeszcze złapać pędzel, zanim mężczyzna klapnął na ziemię.

Oszołomiony, potrząsnął głową, spojrzął na nią i wstał, wydając z siebie gardłowy pomruk. Zaatakował ze spuszczoną głową, chwycił ją pod kolana i rzucił na ziemię. Z wiaderka, przyskajac na wszystkie strony kroplami farby i terpentyny, posypały się pędzle.

Przyciśnięta jego ciałem do ziemi, tłukła go pięściami.

- Jesteś zwolniony. Słyszysz?! Zwolniony! Zabieraj swoje narzędzia i wyńś się!

Podniósł głowę. Miał w oczach nienawiść.

- Żadna kobieta nie będzie mi rozkazywać.

Chwycił ją za gardło i ścisnął. Macy wiedziała, że natychmiast musi coś zrobić, bo inaczej ją udusi. Ale zanim zdążyła cokolwiek wymyślić, malarz już leciał w powietrze, a Rory klęczał przy niej, odgarniając jej włosy z twarzy.

- Macy, nic ci się nie stało?

Słyszac niepokój w jego głosie, pokręciła głową i spróbowała usiąść, przyciskając rękę do obolałej szyi.

- Ja... go wylałam - wychrypiała.

Rory obejrzał się. Malarz leżał na ziemi i jęczał.

- Sam bym to zrobił, gdybyś mnie nie uprzedziła - oświadczył twardo i pomógł jej wstać. - Na pewno dobrze się czujesz? - spytał jeszcze raz.

Potarła szyję i skinęła głową.

- Tak.

Przesunął spojrzeniem po jej figurze, jakby sam chciał sprawdzić, czy nie odniosła innych obrażeń, a potem poprowadził ją do samochodu.

- Zaraz wracam - powiedział.

Macy szeroko otworzyła oczy, gdy szedł z powrotem do malarza, który już stał, ale ciągle jeszcze niezbyt pewnie. Rory chwycił go za przód koszuli i uderzył pięścią w twarz. Malarz upadł, z nosa leciała mu krew.

- Billy! - ryknął Rory.

Z domu wybiegł mężczyzna. Twarz miał błądą. Najwyraźniej przez okno obserwował całą scenę.

- Słucham, proszę pana.

Rory wskazał leżącego malarza.

- Zabierz Joego do lekarza i każ go opatrzyć. Rachunek niech przyślą do mnie. Potem wracaj tutaj, spakujcie się i zabieraj się stąd ze swoją ekipą. Nie zatrudniam ludzi, którzy beczynnie patrzą, jak bije się kobietę.

Zwieszając ze wstydu głowę, Billy bez słowa poszedł wykonać polecenie.

Macy siedziała na kuchennym stole w mieszkaniu Rory'ego. Sam ją tam posadził.

- Skończ już z tym! - krzyknęła, odpychając niecierpliwie jego rękę. - Przez chwilę mnie zamroczyło. Teraz już czuję się dobrze.

Nie zwracając uwagi na jej okrzyk, nadal badał ją miejsce po miejscu.

- Możesz mieć obrażenia wewnętrzne. Złamane żebro. Przebite płuco. - Podniósł jej torebkę. - Jedziemy do szpitala.

Rzuciła torebkę na stół.

- Ile razy mam powtarzać, że nie trzeba!

- No to zadzwonię do Reese'a, żeby przyjechał i cię zbadał. - Rory już wyciągał telefon z saszetki przy pasku.

Wyrwała mu telefon z ręki i rzuciła na stół.

- Do nikogo nie będziesz dzwonił. Wystarczy, że muszę wytrzymać twoje obmacywanie. Nie zamierzam dostarczać jeszcze i twojemu bratu powodów do chorobliwego podniecenia.

Rory założył ręce na biodrach i spiorunował ją wzrokiem. Nagle zbladł i chwycił ją w ramiona.

- Boże, Macy! On mógł cię zabić!

Wolała mu nie mówić, jak bardzo była wystraszona.

- Nie udałoby mu się. Jeszcze chwila i sam musiałby wzywać pomocy.

Rory cofnął się i spojrzał na nią.

- Chyba żartujesz. Jeszcze chwila i by cię udusił.

Na samą tę myśl krew odpłynęła mu z twarzy. Macy przyciągnęła go i chwyciła za ramiona. Bała się, że zaraz jej tu zemdleje.

- Nic mi nie zrobił - powiedziała po raz już chyba setny. - Naprawdę. Czuję się całkiem dobrze. - Rozłożyła ręce, żeby mógł się jej dobrze przyjrzeć. - Widzisz? Nic mi się nie stało.

Chwycił ją za rękę.

- A co to jest?

- Farba. Gdy Joe rzucił się na mnie, trzymałam wiaderko z farbą.

Rory zdjął ją ze stołu i nie wypuszczając z ramion, ruszył do łazienki.

- Musisz się wykapać - uznał.

Wzruszyła ją jego troska. Splatając ręce na jego karku, spojrzała mu w oczy.

- Czy to taki podstęp, żebym się rozebrała do naga?

- Nie. Ale skoro już o tym wspomniałaś, uważam, że to doskonały pomysł.

Posadził ją na brzegu wanny i nalał wody. Gdy temperatura wydawała mu się odpowiednia, zrzucił buty, ściągnął koszulkę i sięgnął do klamry paska.

- Myślałam, że to ja potrzebuję kąpieli! - wykrzyknęła.

- Owszem, potrzebujesz - przyznał z uśmiechem, zdejmując spodnie. - Ale będzie mi wygodniej cię myć, jeżeli wejdę do wanny razem z tobą.

- Uhm - mruknęła z powątpiewaniem.

Wyjął z szafki butelkę olejku.

- Wolisz zapach kwiatowy czy ziołowy? - spytał, przyglądając się etykietce.

- Masz tu zapas bąbelków? - spytała ze zdumieniem.

- Och, nie odpowiadaj. Wolę nie wiedzieć.

Nalał hojnie olejku, wszedł do wanny i wyciągnął rękę, żeby pomóc wejść Macy.

- Ostrożnie. Uważaj, żebyś się nie pośliznęła.

- Nie jestem kaleką - mruknęła, przewracając oczami.

- Przepraszam. - Usiadł, a potem posadził ją między swoimi nogami.

- Wygodnie ci?

- Tak - skłamała.

Zadowolony, przyciągnął ją do siebie, splatając ręce na jej brzuchu.

- Odmokniemy trochę, a potem cię wyszoruję.

Ukołysana ciepłą wodą i komfortem, jakiego doznawała w jego ramionach, Macy zamknęła oczy.

Drzemała minutkę, na pewno nie dłużej. Obudziła się, czując na uchu oddech Rory'ego.

- Macy...

- Hm?

- Obudź się, skarbie. Woda jest już chłodna.

Przeciagnęła się, coś zamruczała, a potem przycisnęła rękę do brzucha.

- Co się stało? - spytał niespokojnie.

- Nic. Trochę mnie piecze. Minęło dużo czasu, odkąd walczyłam z mężczyzną.

We włosach poczuła, jak jego usta wyginają się w uśmiechu.

- No, to zobaczmy, co można z tym zrobić.

Wyszedł z wanny, szybko się wytarł, wziął świeży ręcznik i rozpostarł go, żeby owinąć Macy.

- Zaczekaj tu - powiedział. - Poszukam ci czegoś do ubrania.

Wrócił po chwili, w spodniach od dresu i podkoszulku. Dla Macy miał to samo.

- Pewnie w tym utoniesz - powiedział - ale przynajmniej jest czyste.

Wzruszona jego troską, szybko się ubrała. Gdy spojrzała po sobie, zobaczyła, że na koszulce jest napis: „Kowboje robią to na sianie”.

Objął ją w pasie i poprowadził do sypialni.

- I w każdym innym miejscu, jakie tylko przyjdzie ci do głowy. Kowboje po prostu lubią to robić - roześmiał się.

W drzwiach sypialni Macy zatrzymała się na widok ogromnego łóżka. Przykryte narzutą wyglądającą jak lamparcia skóra, i zarzucone stertą poduszek, zdawało się mówić: „to łóżko kawalera”. Była w stanie jedynie zastanawiać się, ile kobiet już się przez nie przewinęło.



Odpychając Rory'ego, szybko wyszła z pokoju.

- Zawiesz mnie do przyczepy? - spytała, mając nadzieję, że nie usłyszy napięcia w jej głosie. - Naprawdę wolałabym dziś spać w swoim łóżku.

- Oczywiście, skarbie. Cokolwiek sobie życzysz.

Chyba myśli, że zdenerwowana incydentem z Joem będzie się lepiej czuła u siebie, uznała.

No i dobrze. Niech sobie myśli, co chce. Przynajmniej we własnym łóżku nie będą jej nawiedzać duchy innych kobiet.

Parking i ulice w pobliżu sklepu zapchane były samochodami gości zaproszonych przez Rory'ego na przyjęcie z okazji otwarcia sklepu. Macy znalazła dla swojego dzi-pa wolne miejsce tak daleko, że musiała przejść spory kawałek.

Stanąwszy w progu, poprawiła ramiączko sukienki. Rzadko chodziła w sukniach i teraz też by się tak nie ubrała, gdyby Rory nie nalegał, by przyszła na przyjęcie. Nie wiedziała, dlaczego właściwie ją zaprosił. Uroczystości takie jak ta zarezerwowane są przecież dla rodziny i bliskich przyjaciół. A ona ani nie należała do rodziny, ani nie była bliską przyjaciółką. Zresztą w ogóle trudno jej było określić, co właściwie ją łączy z Rorym.

Weszła za próg i zatrzymała się. W lokalu kłębił się tłum. Pomyślała, że chyba zjawili się tu wszyscy mieszkańcy Tanner's Crossing i okolic. Wieszaki na ubrania i regały odsunięto pod ściany i na środku pomieszczenia królował długi stół, zastawiony wszelkiego rodzaju przysmakami. Ludzie stali w grupkach, śmiali się, rozmawiali

i jedli. Kelnerzy w westernowych strojach torowali sobie drogę przez tłum, roznosząc wysmukłe kieliszki z szampanem.

Macy zauważyła, że jej wejście przyciągnęło uwagę kilku osób, głównie tych, które pytała o swoją matkę. Poczula się nieswojo i nie na miejscu. Najlepiej zrobi, jeżeli natychmiast się stąd ulotni. Ale zdążyła tylko cofnąć się o krok, gdy ktoś ją zawołał. Obejrzała się. Rozsuwając ludzi, spieszyła do niej jakaś kobieta.

- Tak się cieszę, że jednak przyszedłeś - powiedziała, chwytając ją za rękę. - Pewnie mnie nie pamiętasz. Jestem Elizabeth Tanner, bratowa Rory'ego.

Chwilę potrwało, zanim Macy ją sobie przypomniała.

- A, tak. Jesteś żoną Woodrowa.

Uśmiechając się, Elizabeth pociągnęła ją w tłum.

- Rory prosił, żebym cię wypatrywała. Bał się, że tylko spojrzysz na to zbiegowisko i uciekniesz.

Ponieważ tak właśnie było, Macy nic nie powiedziała.

- Wszyscy się dziwiliśmy, że Rory cię zaprosił - kontynuowała Elizabeth.

Urażona Macy zatrzymała się.

- Och, nie zrozum mnie źle - roześmiała się Elizabeth i poklepała ją po ręce. - Po prostu Rory nigdy nie przyprowadza swoich przyjaciółek na spotkania towarzyskie.

- Elizabeth pochyliła się i szepnęła: - Woli swobodę i wolność, jeżeli rozumiesz, o co mi chodzi.

- Tak - odparła Macy szorstko. - Rozumiem.

Zanim Elizabeth zdążyła coś jeszcze dodać, podeszła do nich druga kobieta. Maggie, jeśli Macy dobrze pamiętała. Żona Asha.

- Dzięki Bogu, że wreszcie przyszedłaś! - stwierdziła z ulgą. - Ledwo powstrzymałam Rory'ego, żeby po ciebie nie jechał. A przecież jest tu gospodarzem!

Macy nie była pewna, co odpowiedzieć, ale Maggie nie czekała na odpowiedź. Chwyliła ją za drugą rękę i pociągnęła.

- No, chodź. Trzeba mu powiedzieć, że już jesteś, zanim popełni gafę roku i popędzi po ciebie.

Złapana jak w pułapkę, Macy nie miała wyboru. Musiała z nimi pójść. Włożono jej w rękę kieliszek szampana i w tej samej chwili zauważyła Rory'ego. On chyba wyczuł jej obecność, bo spojrzał w jej kierunku. Twarz mu się rozjaśniła w szerokim uśmiechu, mrugnął do niej i szybko odłączył się od grupki mężczyzn, z którymi rozmawiał.

- A więc znalazłyście ją - zwrócił się do swoich bratowych.

- Owszem - przyznała Maggie i zaraz ze zmarszczonym czołem popatrzyła na stół. - Chyba zaczyna brakować szampana. Ale nie przejmuj się. - Poklepała go pocieszająco po policzku. - Zaraz się tym z Elizabeth zajmujemy.

Pozostawiona sam na sam z Rorem, Macy nagle poczuła się onieśmielona.

- Przyjemne przyjęcie - bąknęła.

- Tak, odkąd przyszedłaś, rzeczywiście jest przyjemne. - Wziął ją za rękę i z aprobatą przesunął po niej spojrzeniem. - Śliczna sukienka - powiedział i pocałował ją w rękę. - Ale osobiście wolę, gdy nie masz nic na sobie.

Zaczerwieniła się.

- Oszalałeś? - szepnęła ze złością. - Ktoś mógł cię usłyszeć.

Ze śmiechem objął ją za ramiona i poprowadził do stołu.

- Czemu się złościysz? Boisz się, że zrujnuję ci reputację?

Rzuciła mu kose spojrzenie.

- Nie. Raczej obawiam się, że uratuję twoją.

W miarę jak upływał czas, Macy stwierdziła, że całkiem dobrze się bawi. Zresztą nic dziwnego. Rodzina Rory'ego już o to zadbała. Za każdym razem, gdy Rory musiał odejść od jej boku, któraś z jego bratowych zaraz podchodziła i wdawała się w pogawędkę. Bracia też mieli swój udział w dbaniu o jej dobre samopoczucie, co zresztą przejawiało się głównie w pilnowaniu, by jej kieliszek nigdy nie był pusty. W rezultacie ich troski Macy była na lekkim rauszu.

I chyba było to po niej widać, bo Rory uparł się, że ją odwiezie.

Czekając, aż otworzy drzwi przyczepy, z westchnieniem oparła się o niego.

- Czy ty w ogóle wiesz, ile masz szczęścia?

- Dlaczego? - zdziwił się.

Rzuciła torebkę na kanapę i usiadła, wykończona, ale w dobrym nastroju.

- Bo masz taką wielką rodzinę.

Rory rozluźnił węzeł krawata, usiadł obok niej i zarzucił rękę na oparcie kanapy.

- Owszem, to ma pewne plusy.

- Wszyscy oni są tacy mili. Nawet Woodrow, co mnie naprawdę zaskoczyło, bo jest taki ogromny i onieśmielający.

Ukrywając uśmiech, Rory przejechał palcem po jej policzku.

- Wierz mi, nie zawsze są tacy mili. Po prostu wiedzą, jak się zachować na przyjęciu.

Macy podwinęła nogi pod siebie i przysunęła się bliżej do Rory'ego. Zawadziła przy tym o torebkę, która spadła na podłogę. Już się pochylała, żeby zebrać rozsypane rzeczy, ale Rory powstrzymał ją ręką.

- Ja to podniosę. - Gdy wkładał wszystko z powrotem, zobaczył blaszaną puszkę. - Co to jest?

Uśmiech Macy zniknął.

- Sheila mi ją dała - powiedziała i wyciągnęła rękę, żeby odebrać mu puszkę.

Rory odsunął się.

- A co jest w środku?

- Zdjęcia Sheili i mojej matki.

- Oglądałaś je?

- Tak, rzuciłam okiem.

- Mogę zobaczyć?

Zanim zdążyła go powstrzymać, zdjął wieczko.

- Po co w ogóle pytałeś - parsknęła - skoro i tak robisz, co chcesz!

Rory popatrzył na pierwsze zdjęcie.

- Och. To twoja matka?

- Tak.

- No, no. Atrakcyjna kobieta.

- Owszem. To był jej jedyny atut.

Rory wyczuł w głosie Macy żal. Ciekawe, co między nimi zaszło, że wspomina matkę z taką goryczą, pomyślał.

- Opowiedz mi o niej - poprosił.
  - Piękna. Egoistka. Wymagająca.
  - A mówi się, że przeciwieństwa się przyciągają.
- Spojrzała na niego pytająco.

- Zamień „piękna” na „przystojny” - wyjaśnił - i będziesz miała mojego ojca.

- Jesteś do niego podobny? - spytała.

- A więc twoim zdaniem jestem przystojny? - Z zadowoleniem pogłaskał się po brodzie.

Rozzłościła się.

- Czy ty każde zdanie musisz rozumieć jako komplement?

Rory zachichotał, odłożył puszkę na kolana i objął Macy.

- Tak, jestem do niego podobny. Zresztą wszyscy jesteśmy do niego podobni, chociaż nie aż tak, jak ja. Ale wszyscy odziedziczyliśmy jego czarne włosy i niebieskie oczy.

- A mimo tego podobieństwa bardzo się różnicie - zauważyła. - Zarówno budową ciała, jak i charakterem.

- Masz rację. Woodrow zawsze był najpotężniej zbudowany. Reese zawsze był najmądrzejszy, miał najlepsze stopnie. A Ash... no, on jest prawdziwym świętym. Nie zrozum tego źle - dodał szybko. - Potrafi zachować się paskudnie, tak samo jak my wszyscy. Ale to Ash nas wychował. Gdy matka umarła, przejął jej obowiązki. Pilnował, żebyśmy jedli jarzyny, myli uszy. - Rory zachichotał na jakieś wspomnienie. - I dawał nam lanie, gdy na to zasłużyliśmy.

- Dlaczego wasz ojciec się wami nie zajmował?

- Buck? - Rory pokręcił głową. - Był za bardzo zajęty hulankami, by spędzać czas w domu.

- Jest na którymś z tych zdjęć? - spytała Macy. Wzięła puszkę i wysypała zdjęcia na kolana.

Rory spojrział jej przez ramię.

- Jeżeli masz tu zdjęcia z imprez towarzyskich, to na pewno jest. O, tu. - Podniósł jedną z fotografii. - Tak, to on. - Pośrodku zdjęcia, z przodu, siedział jego ojciec, trzymając Darię Jean na kolanach.

- Pokaż - poprosiła Macy. Przyjrzała się fotografii.

- Chyba dobrze się bawią - zauważyła.

Patrzyła ze smutkiem na zdjęcie. Czego by chciała?

- zastanawiał się Rory. Żeby sprawy potoczyły się inaczej? Żeby jej matka wyszła za mężczyznę, który był jej ojcem? Żeby mogła dorastać, znając oboje rodziców? Żeby matka była kochającą, czułą kobietą?

Jednak nie miało sensu pragnąć czegoś, co nie może się zdarzyć. Nie można zmienić przeszłości. Rory tego próbował i wystarczająco wiele razy poniósł klęskę, by wiedzieć, że to niemożliwe.

Odgarnął jej pasmo włosów z twarzy.

- O czym myślisz? - spytał.

Westchnęła, jakby wracała z daleka.

- O niczym specjalnym. Po prostu... myślałam.

- Macy, jesteś, kim jesteś - powiedział, pewny, że zna jej myśli. - Nie ma znaczenia, kim była twoja matka czy ojciec. Kimkolwiek byli, to nie zmienia tego, kim jesteś ty.

- A kim ja według ciebie jestem? - spytała, patrząc na niego z ukosa.

Spodziewał się usłyszeć w jej głosie sarkazm, a przynajmniej urazę, ale ona tylko szczerze pragnęła się dowiedzieć, co on o niej myśli. Pogłaskał ją czule po policzku.

- Powiem ci, kim jesteś. Jesteś Macy Keller. Cholernie dobry architekt terenów zielonych. I niezależna kobieta, potrafiąca uprzeć się gorzej niż muł. Jesteś uczciwa. Wielkoduszna. Utalentowana. Twórcza. Szczera. - Powiedział to jednym tchem. Teraz zaczerpnął powietrza. - A w łóżku. .. jesteś prawdziwą dziką kotką.

- No, no, tyłu pochwał jeszcze nigdy w życiu nie słyszałam - powiedziała uśmiechnięta.

Wsunął jej palec pod brodę i zmusił do spojrzenia sobie w oczy.

- Znany jestem z tego, że czasami przesadzam. Ale tym razem powiedziałem szczerą prawdę.

- Nawet, że jestem w łóżku jak dzika kotka?

Roześmiał się i posadził ją sobie na kolanach.

- A już zwłaszcza to.

- Zamierzasz tu zostać na noc? - spytała, zataczając paznokciem kółka na jego piersi.

- Mogę zostać, albo chodźmy do mnie.

- Raczej wolałabym zostać tu, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

Rory pomyślał o swoim ogromnym łożu, o jacuzzi. Tu było łóżko rozmiarów pudełka od zapałek i prysznic jak budka telefoniczna.

Chwytał Macy pod kolana i wstał, podnosząc również

- No to zostajemy.

Objęła go za szyję.



- Świetnie, bo ja chcę cię zobaczyć nago natychmiast. Śmiejąc się, przeszedł trzy kroki do łóżka.

- Zawsze szczerą, co? - zaśmiał się.

Macy szybko uklękła i sięgnęła do jego paska u spodni.

- Czyżbyś się skarżył?

- Jasne, że nie. - Zdjął krawat przez głowę. - Uwielbiam kobiety, które nie boją się powiedzieć tego, co akurat myślą.

- Więc chyba się nie obrazisz, jeśli ci powiem, że masz słodki tyłeczek.

Rory spojrzał na nią uważnie.

- Ile kieliszków szampana dziś wypiałas?

Nieśmiało uśmiechnęła, wsunęła palce pod pasek jego spodni i pociągnęła go do siebie.

- Nie wiem. Za każdym razem, gdy upiłam łyk, któryś z twoich braci dolewał mi do pełna.

Rory opadł koło niej na łóżko.

- Przypomnij mi jutro, żebym im podziękował.

Ze śmiechem przyciągnęła do siebie jego głowę.

- Ale będą chcieli wiedzieć, za co właściwie im dziękujesz.

- Nie. Wystarczy im jedno spojrzenie na mnie i zorientują się.

Następnego ranka przy kawie oglądali fotografie, które Macy dostała od Sheili.

- Wygląda na to, że dużo się bawili - zauważył.

- I zawsze w tym samym gronie - skomentowała Macy.

- Przypuszczam, że jeden z tych mężczyzn może być twoim ojcem.

- Możliwe - odparła, opierając głowę na ręce. - Tylko jak się tego dowiedzieć? Nikt nie chce ze mną rozmawiać o matce, a ci, którzy by porozmawiali, nic nie wiedzą.

- Znajdziesz go - pocieszył ją Rory. - Po prostu potrzeba na to trochę czasu.

- Ale przecież nie mogę tu tkwić w nieskończoność.

Rory zmartwił na myśl, że Macy może wkrótce wyjechać. Do tej pory w ogóle nie przyszło mu to do głowy.

- Dlaczego?

- Muszę pracować. Teraz żyję z tego, co uzyskałam za sprzedaż firmy, ale na długo mi to nie wystarczy. Muszę zacząć oszczędzać pieniądze na nową firmę, no i zdecydować, gdzie chcę zamieszkać.

- A dlaczego nie tutaj? Tanner's Crossing potrzebuje dobrego architekta krajobrazu. Jedyny, jakiego mamy, spędza więcej czasu na Bahamach niż przy pracy.

- Moim zdaniem po tym, jak zostawił cię z terenem pełnym wędnących roślin, powinniście natychmiast się go pozbyć.

- Pewnie, że tak - zgodził się Rory, próbując wymyślić jakiś sposób, by zatrzymać Macy przy sobie. - Wokół miasta jest sporo działek na sprzedaż. Niektóre są własnością Tannerów, a ponieważ jesteś przyjaciółką rodziny, chyba byliby skłonni sprzedać ci którąś za niewygórowaną cenę.

- Nie wiem - powiedziała z wahaniem. - Wyjechałam z Dallas, bo chciałam zacząć od nowa gdzie indziej. W jakimś miejscu, gdzie nie natykałabym się na każdym kroku na wspomnienia o matce. Jeżeli zamieszkałam tutaj, nie osiągnę tego celu. To przecież jest jej dawny teren łowów.

- Nie musisz decydować w tej chwili. - Zaczął zbierać zdjęcia i wkładać je do puszk. - Pracując przy moim domu, będziesz miała mnóstwo czasu, żeby wszystko przemyśleć.

Mając już za sobą wielkie otwarcie sklepu i zatrudniony kierownika, który przejął wiele z jego obowiązków, Rory mógł poświęcić całą uwagę swojemu nowemu domowi. Pragnął go ukończyć jak najszybciej, by wreszcie pożegnać się z wynajmowanym mieszkaniem i być u siebie.

Idąc przez kuchnię, zatrzymał się, by podziwiać zestaw nowych urządzeń. Sam nie bardzo umiał gotować, ale każda firma, jaką wynajmie do urządzania przyjąć, zrobi z nich dobry użytek. Z dumą poklepał kuchenkę i wyszedł na dwór, by zobaczyć, co robi Macy.

Leżała w hamaku zawieszonym między dwoma drzewami. Na ten widok uśmiechnął się.

- No i przyłapałem cię na drzemce podczas pracy! - zawołał, podchodząc.

- Tylko niech ci nie przyjdzie do głowy potrącić mi to z pensji. Musiałam coś naszkicować, a wolę siedzieć w cieniu.

Lekko ją szturchnął, żeby zrobiła mu miejsce, i położył się obok niej. Chciał rzucić okiem na szkic, ale zasłoniła go ręką.

- Macy - poskarżył się. - Nic nie widzę.

- I nie zobaczysz, póki nie skończę. Nie lubię, gdy klienci oglądają nieskończone szkice.

- Ale ja nie jestem zwykłym klientem.

- Wobec tego kim?

Musnął ustami jej szyję.

- Twoim kochankiem. I dlatego z całą pewnością mogę zobaczyć szkic.

- Nic z tego, Romeo. To nie znaczy jeszcze, że zasługujesz na specjalne traktowanie.

- Więc wobec tego nie spodziewaj się, że zostanę dziś u ciebie na noc.

Obojętnie wzruszyła ramionami.

- No i dobrze. Będę miała więcej miejsca dla siebie.

Skoro groźby nie pomogły, przybrał swoją najbardziej żalospną minę. Wyglądał teraz jak smutny szczeniak.

- Macy, daj spokój - jęczał. - Tylko jedno spojrzenie. No, proszę.

Spojrzała na niego i parsknęła śmiechem.

- Och, na litość boską - mruknęła i podała mu szkicownik.

Zadowolony z siebie przyjrzał się rysunkowi.

- Co to jest? - spytał, pokazując palcem serię kółek w rogu kartki, zaznaczonych obok szkicu patia będącego przedłużeniem głównej sypialni.

- Wodospad i staw dla japońskich karp. Można z tego zrezygnować, jeśli ci się nie podoba. Ale pomyślałam sobie, że byłoby ci przyjemnie słyszeć z sypialni plusk wody.

- Faktycznie, byłoby - zgodził się. Spodobał mu się ten pomysł. - A to? - Pokazał ledwo zaznaczone symbole na marginesie kartki.

Macy zapomniała o rysunku, który bezwiednie naniosła, gdy leżała tu i marzyła.

- Nic takiego. To tylko jeden z pomysłów, nad którymi się zastanawiałam.

- Powiedz mi, co to jest - nalegał.

Straszliwie zażenowana, odwróciła się tyłem do niego. Rzadko pozwalała sobie na takie zatracenie się w romantycznych marzeniach. Okropne, że Rory zobaczył ich efekt.

- To nic takiego. Naprawdę. Zresztą i tak pewnie byś tego nie chciał.

- Jak mogę zdecydować, jeśli nie wiem, o czym mówisz?

Macy wyrwała mu notatnik i wściekle zaczęła ścierać rysunek gumką na końcu ołówka.

- Miałam taki głupi pomysł - mruknęła. - Gdy rysowałam staw dla karpi, przyszło mi do głowy, że można by z tego zrobić prysznic i wannę do gorących kąpieli. - Założyła ręce na piersi. - Jak powiedziałam, to głupi pomysł.

- Wcale nie - zaprzeczył Rory, przyglądając się szkicowi. - Wprost przeciwnie. Bardzo mi się podoba. Przypomina mi stare filmy o Tarzanie z Johnnym Weissmillerem i sceny, gdzie on i Jane zabawiali się pod wodospadem. Jeżeli dobrze pamiętam, kończyło się to tańcem we dwoje w stawie. - Zachichotał. - Chętnie odegrałbym pod wodospadem rolę Tarzana z jakąś Jane. A potem - ciągnął rozmarzony - gdy zrobi się gorąco, skok do stawu i kochanie się w wodzie. - Zadrżał. - Już na samą myśl krew we mnie wrze.

Macy przerzuciła nogi przez brzeg hamaka, zeskoczyła na ziemię i odeszła.

- O tak. Twojej Jane też to się na pewno spodoba - rzuciła jeszcze przez ramię.

- Hej! - zawołał za nią. - Gdzie idziesz?

- Do pracy. - Wzięła nóż ogrodniczy ze sterty narzędzi, które zostawiła przy garażu, i zniknęła za domem.

Zabrała się do obcinania uszkodzonych gałęzi drzewa judaszowego. Jak mogła tak bezmyślnie gryzmolić! A jeszcze bardziej była wściekła na siebie za to, że wyobrażała sobie, jak sama jest pod wodospadem z Rorym.

Jego opis fantazji brutalnie jej przypomniał, że może i on jest dla niej Tarzanem, ale ona na pewno nie jest jedyną „Jane” w jego życiu.

Rory to kobieciarz. Uwodziciel. Wiedziała to od razu, gdy po raz pierwszy go zobaczyła. A jego bratowe tylko potwierdziły jej podejrzenia. Ale nigdy nie sądziła, że tak bardzo ją zaboli wyobrażenie sobie Rory'ego z inną kobietą.

Przestań o tym myśleć, nakazała sobie. Znasz zasady przetrwania w grze zalotów. Bierzesz to, co możesz dostać, cieszysz się, gdy jeszcze trwa, a potem idziesz dalej i nigdy się nie oglądasz, gdy nadejdzie koniec.

Ale obawiała się, że gdy tym razem nadejdzie koniec, ciężko jej będzie się nie oglądać.

Niosąc przed sobą obcięte gałęzie, poszła je wyrzucić. Nagle uderzyła w coś twardego. Cofnęła się o krok i wyjrzała znad gałęzi. Przed nią stał Rory.

- Obraziłaś się? - spytał.

Pokręciła głową i obesła go naokoło.

- Nie mam czasu na wylegiwanie się. - Rzuciła gałąź na spory już stos odpadków i ruszyła do swojego dżipa.

- Jadę do miasta kupić coś do jedzenia. Tobie też przywieźć?

Rory był już przy samochodzie i otwierał jej drzwi.

- Mam lepszy pomysł.
- Jaki?
- Pojedziemy do Reese'a, zrobimy najazd na jego lodówkę i urządzimy sobie piknik.
- Przecież nie możesz wpakować się do czyjegoś domu i kraść mu jedzenia!
- Dlaczego nie? To mój brat. Nie będzie mi miał za złe.

Zanim zdążyła wymyślić inną wymówkę, Rory już podsadził ją na miejsce za kierownicą, i sam wdrapywał się na fotel pasażera.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Macy wlokła się za Rorym, ciągle jeszcze zła.

- Gdybyś mi powiedział, że idziemy na Big Thicket, nigdy bym się nie zgodziła - mruknęła.

- I nie zgodziłaś się - przypomniał jej. - Ale nie martw się. Już prawie jesteśmy.

- A gdzie my właściwie się wybieramy? Idziemy już całe godziny.

Zatrzymał się, żeby na nią zaczekać.

- Jakie godziny! Najwyżej kwadrans.

Oparła się o jego ramię i ściągnęła oset, który przyczepił jej się do nogawki spodni.

- Czuję się tak, jakbyśmy szli już od wielu godzin - narzekała.

Roześmiał się i ruszył dalej, zarzucając na ramię koc. W drugiej ręce niósł koszyk z zapasami. Macy niechętnie poszła za nim. Ale wkrótce znów została w tyle i zaraz straciła go z oczu, bo wszedł w kępę drzew. Przyspieszyła, niepewna, czy potrafi sama znaleźć drogę. Przedzierając się między drzewami, trafiła w końcu na niewielką polankę. Rory już tam był. Właśnie rozkładał koc w cieniu wielkiego dębu.

- To jeszcze ciągle twoja ziemia? - spytała.

- Nie moja własna, ale należy do Tannerów.



Miejsce, które wybrał na ich piknik, było jak wyjęte z bajki. Stuletnie drzewa szumiały im nad głową, ich gęste gałęzie tworzyły oazę cienia. Dzikie kwiaty wyglądały w trawie jak rozsypane confetti.

Uwagę Macy przyciągnął plusk wody. Poszła jej poszukać i nie musiała iść daleko. Wśród kępy drzew płynął strumień, woda w nim była krystalicznie czysta. Z dna wystawały skałki, tworząc małe tamy, dzięki którym powstały liczne głębokie stawki.

- Ładnie tu, prawda? - spytał Rory, doganiając ją.
- Tak, bardzo.
- Wykapiemy się?
- Teraz?

Uśmiechając się, ściągnął koszulę.

- Owszem.
- Nie mam przy sobie kostiumu - powiedziała, próbując nie patrzeć na jego nagą pierś.

Rory rozpiął klamerkę paska i zrzucił buty.

- Nie jest ci potrzebny. Jesteśmy tu sami, tylko ty i ja.
- Macy aż sapnęła, patrząc, jak zsuwa dżinsy z długich nóg. Potem odwróciła się, by nie ulec pokusie.

- Nie umiem dobrze pływać.

Poczuła na ramionach jego ręce, kark owiał jej ciepły oddech, a zaraz potem Rory dotknął tego miejsca ustami.

- A kto mówił o pływaniu?

Sugestywna chryпка w jego głosie spowodowała, że kolana jej zmiękły.

- Rory... - zaczęła.

Zsunął ramiączko jej bluzki i przyłożył usta do gołej skóry.

- Tak?

- Ja... - Objęła się w pasie i przycisnęła plecami do niego.

- O tym właśnie myślałaś, prawda? - szepnął. - Gdy szkicowałam mój ogród, myślałam o tym, jak we dwoje stoimy pod wodospadem i kochamy się.

Zdumiona odwróciła się w jego ramionach.

- Wiedziałaś?

Uśmiechając się czule, odgarnął jej włosy z policzka i założył za ucho.

- Może i myślę powoli, ale nie jestem całkiem tępy.

- Zsunął z niej spodnie. Potem, muskając ustami jej usta, wsunął ręce pod bluzkę, a w końcu ją zdjął.

Wreszcie wziął ją na ręce.

- Lepiej zrzucić buty - doradził, idąc na brzeg strumienia.

Macy szybko zrzuciła buty i objęła go za szyję.

- Gotowa? - spytał, podchodząc do brzegu.

Skinęła głową, a wtedy Rory zanurkował. Od lodowatej wody niemal doznała szoku.

- Wariat! - krzyknęła, gdy wypłynął z nią na powierzchnię i posadził ją na skałce.

Śmiejąc się, zaczęła wyżywać włosy, ale jej śmiech zamarł, gdy Rory wciągnął się na skałkę i usiadł obok niej. Mięśnie jego ramion i piersi napięły się z wysiłku. Krople wody kapały mu z włosów i twarzy i spływały lśniącymi strumykami po piersi. Serce Macy waliło jak młotem. Uniosła wzrok. Patrzył na nią. Oczy dorównujące błękitem niebu nad ich głowami i głębokie jak morze wydawały się przyciągać ją i przytrzymywać.

Zaczynam się w nim zakochiwać, uświadomiła sobie.

Ta myśl wyparła jej powietrze z płuc. Jednak nie mogła zaprzeczyć swoim uczuciom. Rory przyciągnął ją do siebie i pocałował.

Macy chciała zatrzymać na zawsze tę chwilę, zapamiętać to uczucie czystego, niezmaconego szczęścia, gdy po raz pierwszy w życiu doświadczała prawdziwej miłości. Ale pragnienie, by mieć go w sobie, by połączyć się z nim fizycznie, stało się silniejsze niż wszystko inne. Osunęła się plecami na twardą skałę i pociągnęła go za sobą.

- Dobrze ci? - Rory tulił Macy, głaskał ją po plecach.

Słaba, nasycona, szczęśliwa do nieprzytomności, nie potrafiła znaleźć słów, by mu powiedzieć, jak cudownie się czuje. Odchyliła się tylko i wzięła jego twarz w ręce.

- Jeżeli tak działa na ciebie woda, zbuduję ci strumień pośrodku domu.

Ze śmiechem, nadal nie wypuszczając jej z objęć, ześliznął się z nią do wody.

- Wiedziałem, że potrafisz zrozumieć, co miałem na myśli.

- To rodzinne spotkanie - kontynuowała Macy uparcie, gdy jechali do Reese'a na niedzielny obiad. - Sam mi to mówiłeś. A ja nie należę do rodziny, więc nie powinnam tam być.

- Nie lubisz mojej rodziny?

Krzyżując ręce na piersi, odwróciła się do okna.

- Chyba są w porządku.

- Więc o co ci chodzi? I nie myśl, że się narzucasz. Kazali mi cię przywieźć.

- Ale to rodzinny obiad! Dlaczego chcą, żebym tam była, skoro nie należę do rodziny?

- Nie wiem. Chyba po prostu cię polubili.

- Na pewno zrobię z siebie idiotkę - powiedziała żałośnie, wciskając się w fotel.

- Przecież nie jedziesz do rodziny królewskiej - uspokajał ją. - Jesteśmy normalnymi ludźmi, którzy spotykają się na niedzielnym obiedzie. Twoja rodzina nie miała takiego zwyczaju?

Rzuciła mu złe spojrzenie.

- Kpisz sobie ze mnie? Moja rodzina składała się z ojczyma, który nigdy mnie nie tolerował, matki, która wołałaby, żebym się nigdy nie urodziła, i ze mnie. - Ze zmarszczonym czołem znów odwróciła się do okna. - Ledwo ze sobą rozmawialiśmy, a co dopiero mówić o wspólnych posiłkach.

Rozumiejąc w końcu, czemu Macy tak się zdenerwowała perspektywą obiadu u Reese'a, Rory uścisnął ją za rękę.

- Moja rodzina cię lubi - zapewnił ją. - Chociaż nie rozumiem dlaczego - dodał z przekornym uśmiechem.

- Hej! - krzyknęła. - Przecież nie jestem aż taka okropna.

- A czy ja powiedziałem, że jesteś?

- Powiedziałeś, że nie rozumiesz, dlaczego twoja rodzina mnie lubi, a to znaczy to samo.

Rory zaparkował obok furgonetki Woodrowa.

- Po prostu chciałem cię trochę rozzłościć.

- Gratuluję- mruknęła. Zeskoczyła na ziemię i z całej siły zatrzasnęła drzwi. - Doskonale ci się to udało.

Starając się nie pokazać po sobie rozbawienia, Rory pociągnął ją do domu.

- Czyżbym czuł zapach pieczeni? - krzyknął, ciągnąc Macy długim korytarzem do kuchni.

- Ten chłopiec ma nos jak pies gończy - mruknął Woodrow.

- Chłopiec! - parsknął Rory z oburzeniem i zaciskając pięści, zaczął podskakiwać przed bratem. - Lepiej uważaj, kogo nazywasz chłopcem - ostrzegł. - Bo dostaniesz takie manto, że się nie pozbierasz.

Zadziwiająco szybkim ruchem, jak na mężczyznę takiej postury, Woodrow założył Rory'emu klamrę i zgiął go wpół.

- No, spróbuj.

- Wy dwaj! Natychmiast przestańcie! - krzyknęła Maggie. - Znacie zasady. Żadnych bójek w domu.

- Przepraszam - mruknął Woodrow i uwolnił Rory'ego.

Rory puścił do Maggie oko.

- Woodrow na pewno później ci podziękuje za to, że uratowałeś go od lania. - Wyciągnął ręce do dziecka, które Maggie trzymała na biodrze. - Kotku, chodź do wujka Rory'ego i daj mu wielkiego całusa.

Macy ze zdumieniem patrzyła, jak Rory zręcznie bierze dziecko na ręce.

- Pamiętasz Laure, prawda? - zwrócił się do niej i głośno cmoknął małą w policzek, na co radośnie się roze-

śmiała. Nagle podał ją Macy. - Potrzyj ją. Muszę ucałować kucharkę.

Macy, zaskoczona tym, że wpakowano jej w ramiona dziecko, patrzyła, jak Rory podrywa z podłogi żonę Reese'a i wyciska głośnego całusa na jej ustach.

- Kayla, przysięgam, że co dzień jesteś piękniejsza - powiedział, stawiając ją z powrotem na nogi. Objął ją za ramiona, pociągnął do kuchenki i nachylił się nad garnkami. - Mmm, co za zapach! Słowo daję, że gdyby Reese pierwszy cię nie znalazł, sam padłbym na kolana i się oświadczył.

- Hej! - krzyknął Reese z oburzeniem. - Obmacujesz moją żonę.

Z rękami w górze Rory cofnął się.

- Tylko chwałę kucharkę tak, jak na to zasłużyła - wyjaśnił.

W tej właśnie chwili Laura chwyciła wisiorek Macy i pociągnęła. Macy instynktownie przykryła rękę dziecka swoją, żeby uratować łańcuszek przed zerwaniem.

Maggie ze śmiechem wzięła od niej córkę. Posadziła sobie Laurę na biodrze i objęła Macy w pasie.

- Wiem, że w pierwszej chwili możesz czuć się przytłoczona przez nas, ale szybko się przyzwyczaisz.

Oszołomiona Macy siedziała przy stole między Rorym i Woodrowem. Już zrezygnowała ze zjedzenia czegokolwiek. W pokoju panował gwar, sześć rozmów toczyło się jednocześnie, a ona tylko odwracała głowę od jednej osoby do drugiej, próbując słyszeć je wszystkie. Uznała, że Tannerowie są hałaśliwi, uparci i szczerze serdeczni.

Nie mogła się zdecydować, czy chce z krzykiem uciec stąd, czy też błagać ich, by pozwolili jej do siebie dołączyć. Poczowała rękę Rory'ego na kolanie i spojrzała na niego.

- No i co? Nadal wolałabyś tu nie przyjeżdżać?

Nerwowo westchnęła.

- Spytaj mnie o to później. W tej chwili nie potrafię zdecydować.

Śmiejąc się, objął ją za ramiona i uściśnął, a potem odwrócił się do Asha, który właśnie spierał się z Reese'em, czy dzieci powinny mieć prawo do rozwodu z rodzicami. Słuchając ich uważnie, jednocześnie masował napięte mięśnie w jej karku. Robił to tak nieświadomie i naturalnie, że chyba nawet nie zdawał sobie z tego sprawy. Ale ona to czuła. Czuła każdy jego ruch. Tak się zapamiętała, że dopiero po chwili uświadomiła sobie, że wszyscy na nią patrzą.

Rzuciła Rory'emu spanikowane spojrzenie.

- Ash pytał, czy znalazłaś już swojego ojca - powiedziała.

Zarumieniona z zażenowania, uśmiechnęła się słabo.

- Przepraszam. Widocznie przez chwilę byłam nieobecna myślami. Nie, nie znalazłam go jeszcze.

- A masz już jakieś tropy? - spytał.

- Nic, co można by wykorzystać. Dixie powiedziała mi, że mieszkając tutaj, matka przyjaźniła się z Sheilą Tompkins. Byłam u niej, ale ona mogła mi tylko dać stare zdjęcia. Chyba nikt nie wiedział, że wyjeżdżając stąd, matka była w ciąży.

- A co z dokumentacją medyczną? - zwrócił się Ash

do Reese'a. - Jeżeli matka Macy poszła tu do lekarza, powinien chyba zostać w dokumentach jakiś ślad?

- Rzeczywiście, powinien - przyznał Reese.

- Ale nawet jeżeli tak się stało - odezwała się Elizabeth - są to poufne akta i nie można do nich zajrzeć bez pisemnego upoważnienia pacjenta.

- A skoro matka Macy nie żyje - podsumował Reese - nie możemy z nich skorzystać.

Ash popatrzył na Elizabeth i Reese'a.

- Może gdyby się znalazł lekarz, który zgodziłby się ominąć kilka przepisów...

Gdy Elizabeth i Reese milczeli, Ash westchnął niecierpliwie.

- Oboje jesteście obrzydliwie uczciwi. I bardzo się wam to chwali, ale czasami wolałbym, żeby tak nie było.

Macy siedziała przy wąskim stole w swojej kuchni i przeglądała zdjęcia. Po tym, jak Ash spytał, czy znalazła już swojego ojca, postanowiła jeszcze raz je obejrzeć. Teraz wypisywała nazwiska tych mężczyzn, których typowała jako wartych sprawdzenia.

- Wiesz, ile czasu zajmie znalezienie ich wszystkich? - jęknął Rory.

- Masz lepszy pomysł?

Ze znużeniem oparł głowę na rękach.

- Nie - mruknął. - Ale na pewno na coś wpadniemy. Tylko już nie dziś, proszę. Jestem wykończony. A poza tym patrzyłem tak długo na te twarze, że już mi się niemal zlewają.



Macy usłyszała w jego głosie takie zmęczenie, że choć niechętnie, jednak postanowiła skończyć.

- No, dobrze. Idziemy spać. Tylko dlaczego jesteś bardziej zmęczony niż ja? Przecież spaliśmy tak samo długo.

Spojrzał na nią z urazą.

- Jak widzę, zapomniałaś, że po obiedzie grałem z braćmi w piłkę, a także o godzinach, jakie spędziłem, czołgając się po podłodze z Laurą na plecach.

- Biedaczek - mruknęła współczująco, rozpinając mu pasek od spodni. - A na dodatek twoja drużyna przegrała.

- Nie przegralibyśmy, gdyby Woodrow lepiej celował. Piłka przeleciała mi o dobry metr nad głową.

Próbując się nie roześmiać, ściągnęła mu dzinsy, a potem je przytrzymała, gdy z nich wychodził.

- Może ty powinieneś grać na pozycji ćwierćbeka, i zostawić Woodrowowi rolę łapacza?

- To by nic nie dało. Ma łapy wielkie jak bochny. Jak mógłby nimi złapać małą piłeczkę?

Macy skończyła go rozbierać i położyli się.

- Dobranoc, Rory.

Położył się na boku, objął ją w pasie i przyciągnął do siebie.

- Dobranoc - mruknął i zaraz usłyszała jego spokojny oddech. Zasnął.

Macy czule odgarnęła mu kosmyk włosów z czoła. Gardło miała zaciśnięte od kłębiących się w niej uczuć. Jak do tego doszło? Zna go przecież dopiero od kilku tygodni, a już się ze sobą zżyli, czują się tak dobrze, jakby byli razem od wielu miesięcy, jeśli nie lat. Tak na-

turalnie splatał pod kołdrą nogi z jej nogami i przytulał ją. Zupełnie jakby sypiali ze sobą całe życie.

Uśmiechnęła się i przesunęła palcem po jego czole. To zasługa Rory'ego. Przedtem nigdy nie czuła się w obecności mężczyzny tak swobodnie. Poprzednich związków nawet nie warto było wspominać. Zawadzające o siebie nosy podczas pocałunków, niepewność, co robić z rękami, wreszcie udawanie orgazmu, by jak najszybciej zakończyć to przykre doznanie. Potem niezręczne poranki i zastanawianie się, czemu w ogóle zdecydowała się zostać na noc.

Z Rorem było zupełnie inaczej. Wszystko z nim układało się prosto. Naturalnie. Radośnie. Zapierając dech w piersiach. Po prostu pasowali do siebie. I to napawało ją troską.

Zakochała się w nim. Duży błąd, ale nie mogła nic na to poradzić. On nigdy nie powiedział, jakie uczucia do niej żywi, nie wspomniał ani słowem o przyszłości. Wydawało się, że jest zadowolony z tego, co jest, i zamierza kontynuować ten romans, który obojgu dawał tyle radości. Jeszcze do niedawna Macy też byłaby zadowolona z takiego obrotu spraw. Stosunki jej matki z ojczymem stanowiły dobrą przestrożę przed małżeństwem. Przez cały czas kłócili się i walczyli ze sobą, zupełnie jakby wzajemne unieszczęśliwianie się sprawiało im przyjemność. W rezultacie Macy nigdy nie zapragnęła wyjść za mąż i zadowolona była z tego, że jest samotna.

Ale tak było, zanim poznała Rory'ego, zanim otoczył ją ciepłem, dał poczucie bezpieczeństwa, bo był przy niej zawsze, gdy go potrzebowała, zanim poznała radość, jaką może dać intymny związek. I zanim poznała jego rodzinę,

doświadczyła ciepła i spokoju, jakie daje przynależność do licznej rodziny. Zanim dowiedziała się, jak to jest, gdy trzyma się w ramionach dziecko, czuje, jak małe paluszki chwytają twoją rękę, zobaczyła niewinność i zaufanie w patrzących na nią dziecięcych oczach.

Dawniej mogła tylko fantazjować i marzyć. Teraz jednak już wiedziała, że jej marzenia mogą się spełnić, że można kochać i wzajemnie być kochaną. Że kłótnie i walki nie są normalną cechą domowego życia.

I gorąco zapragnęła mieć męża i rodzinę.

W zamyśleniu przeciągnęła palcem po policzku Rory'ego. Ciekawe, czy on pragnie tego samego. A jeżeli tak, to czy z nią. Raz wspomniał, że mogłaby zamieszkać w Tanner's Crossing i tu założyć swoją firmę, ale to nie były oświadczenia. Może zaproponował to tylko dlatego, że wygodnie byłoby mieć ją w pobliżu?

Ale co by było, gdyby się nią znudził? Jak mogłaby mieszkać w tej samej miejscowości i widzieć go z inną kobietą, skoro tak bardzo go kocha?

Zdenerwowana, wtuliła twarz w poduszkę. Jesteś śmieszna, powiedziała sobie. Po co martwić się na zapas. Przecież ich związek dopiero się zaczął. Dopiero zaczynają się nawzajem poznawać. Tylko czas pokaże, czy jego uczucia dla niej są tak samo silne jak jej wobec niego.

Ciszę przerwał głośny dzwonek telefonu. Rory gwałtownie usiadł, uderzając głową w niski sufit.

- Cholera! - zaklął, pocierając głowę i wpełzł z pościeli, by poszukać aparatu pośród rozrzuconych po całej podłodze ubrań. Wreszcie go znalazł i przysiadł na brzegu łóżka.

- Tanner, słucham - powiedział ze znużeniem.

Macy skuliła się przy nim, głowę oparła na jego plecach.

- Co takiego?! - krzyknął Rory.

Przestraszona jego okrzykiem, Macy zapaliła lampkę.

Rory jeszcze przez chwilę słuchał ze zmarszczonym czołem.

- Nie, nie - powiedział. - Dobrze zrobiłeś, dzwoniąc do mnie. - Wstał i przeczesał ręką włosy. - Wezwij dekarza. Niech przyjedzie jak najszybciej. Jeśli będzie trzeba, zaproponuj mu podwójną stawkę. Potem ściągnij ekipę ratunkową i niech zaczną wypompowywać wodę. - Spojrzał na zegarek. - Powiniennem do was dojechać o świcie. Resztą zajmę się już na miejscu.

Wyłączył telefon i zaczął się ubierać.

- Co się stało? - spytała Macy.

- W moim sklepie w Houston zawalił się dach. Była taka ulewa, że przez kilka godzin napadało piętnaście centymetrów. Dach nie wytrzymał tego ciężaru. W sklepie woda stoi po kolana.

- Mogę w czymś pomóc? - spytała Macy, chwytając swoje ubranie.

Rory szybko pocałował ją w usta.

- Nie, ale dziękuję, że zaproponowałaś.

Już biegł do drzwi, po drodze wkładając kapelusz.

- Zadzwoń do ciebie, kiedy tylko się zorientuję, co tam się dokładnie stało. - Otworzył drzwi, ale jeszcze się obejrzał. - I nie chcę, żebyś chodziła pracować przy moim domu, kiedy mnie nie będzie.

- Rory...

Przycisnął palec do jej ust.

- Nie kłóć się ze mną - rozkazał. - Po powrocie wtłoczę robotnikom do głowy, że to ty jesteś ich szefem. Ale do tej pory masz się tam nie pokazywać. Zrozumiano?

Chociaż jego rozkaz ją rozwścieczył, ugryzła się w język. Rory miał teraz i bez niej dosyć kłopotów.

- Tak - zapewniła go i dodała: - Uważaj na siebie.

Jeszcze raz wycisnął całusa na jej ustach, i już go nie było.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Ponieważ Rory zabronił jej pracować przy jego domu, Macy miała mnóstwo czasu. Wysprzątanie przyczepy zajęło jej tylko krótką chwilę i nie wiedziała, co robić dalej. Nie miała telewizora ani radia i szybko zaczęła się nudzić. Pomyślała więc, że pojedzie do sklepu i sprawdzi, czy nie trzeba podlać roślin.

Parking był zatłoczony - dobry znak, że otwarcie było wielkim sukcesem. Wzięła wąż i ruszyła w obchód, gdy nagle pod drzewem górskiego wawrzynu zobaczyła jakiegoś mężczyznę. Był wysoki, co najmniej metr osiemdziesiąt, miał na sobie spłowiałe dżinsy i roboczą koszulę. Macy nie widziała dobrze jego twarzy, bo ocieniał ją daszek czapki, ale za to zobaczyła wyraźnie, że w ręku trzyma nóż.

Bojąc się, że zamierza wyrycić na korze swoje inicjały, rzuciła wąż i pobiegła. W tej chwili nie myślała o własnym bezpieczeństwie.

- Hej tam! Co pan robi?

Obejrzał się, złożył nóż i szybko schował go do kieszeni.

- Szkodniki... - Wskazał ręką drzewo.

Pewna, że mężczyzna kłamie, Macy przykucnęła, żeby obejrzeć pień. Natychmiast spostrzegła otwórki.

- Niech to szlag - mruknęła i wstała, wycierając ręce o kombinezon. - Sadząc to drzewo, niczego nie zauważyłam.

- Infekcja dopiero się zaczęła.

- Tak, ale szczerę się tym, że sadzę wyłącznie zdrowe drzewa i że od razu spostrzegam infekcję. Ma pan dobre oko. Lepsze niż ja, a to o czymś świadczy.

Mężczyzna spojrział gdzieś w bok.

- Pracuję dłużej.

Macy ukryła uśmiech. Przemawiał raczej skrótami niż całymi zdaniem, ale podobało jej się to.

- Założyłbym się, że kupiłaś te drzewa w Plant Store - powiedział.

Spojrzała na niego ze zdziwieniem.

- Skąd pan wie?

- Bo Arnold, nie dba o reputację. Interesuje go tylko zarobek.

- Arnold - powtórzyła. Znała to nazwisko. To był architekt terenów, który zawiódł Rory'ego. - Gdybym wiedziała, że to jego szkółka, na pewno bym tam nie poszła.

- Musiałabyś, bo tu innej nie ma.

Zaintrygowana tym dziwnym mężczyzną, podeszła bliżej.

- Wygląda na to, że zna się pan na roślinach.

Wzruszył ramionami.

- Trochę się tym bawię. Mam dwie szklarnie.

Szklarnie, pomyślała. Och, jak tęskniła za swoimi. Pochyliła się i wyrwała jakiś chwast z trawnika.

- Miałam szkółkę w Dallas, ale kilka miesięcy temu

wszystko sprzedawałam. Zaczynam się zastanawiać, czy nie otworzyć firmy tutaj.

- Dobra szkółka by się tu przydała.

Macy uniosła wzrok, by mu odpowiedzieć, ale słowa zamarły jej na ustach. Mężczyzna wpatrywał się w jej piersi. Szybko zasłoniła dekolt ręką.

Czerwony jak burak, odwrócił spojrzenie.

- Nie miałem nic złego na myśli. Podziwiałem tylko twój medalionik.

Macy przez chwilę bacznie na niego patrzyła, zastanawiając się, czy mówi prawdę, czy kłamie. Ale jego zażenowanie nie było udawane.

- To po mojej matce.

- Wygląda na coś starego - powiedział, nadal na nią nie patrząc. - Skinął ręką w kierunku drzewa. - Chyba powinnaś to jak najszybciej opryskać, zanim zaraza się rozprzestrzeni.

- Nie cierpię używać chemikaliów, ale jeszcze bardziej nie cierpię tracić drzew.

- Mam pewne sukcesy z organiczną miksturą, którą sporządziłem. Jeśli chcesz, mogę ci trochę przywieźć.

- Mieszka pan gdzieś w okolicy?

- Niedaleko.

- To może pojedę za panem i sama ją sobie przywiozę? Będę dzięki temu miała okazję zobaczyć te szklarnie. Jeżeli się nie narzucam - dodała szybko.

Przełknął ślinę, potem skinął głową i odwrócił się. Ręką wskazał furgonetkę, stojącą na ulicy.

- Jedź za Starą Blue.



Jadąc wyboistą drogą za Starą Blue, jak mężczyzna nazwał swój pikap, Macy zastanawiała się, czy nie postąpiła pochopnie. Jechała przecież do całkiem obcego człowieka. Nie wiedziała nawet, jak się nazywa. Ale nie bała się. Raczej odczuwała ulgę, że ma czym zająć sobie czas. A przebywanie w szklarni było zajęciem, za jakim od dawna tęskniła.

Furgonetka zwolniła i skręciła w wąską dróżkę. Macy zrobiła to samo i zobaczyła stojący wśród kwiatów niewielki biały domek obrośnięty winoroślą.

Zachwycona stylowym wiejskim ogrodem, zaparkowała dżipa i wysiadła.

- Cudowny ogród! - wykrzyknęła i podeszła do niskiego parkanu. - Ach, orliki, krwawnik, lawenda, ołownica. Prześliczne!

- Szklarnie są tam - wskazał głową mężczyzna.

Macy poszła za nim. Po tym, jak zobaczyła ten piękny ogród, nie mogła się już doczekać cudów, jakich spodziewała się w szklarniach.

Weszła za właścicielem do pierwszej szklarni i z zachwytem się rozejrzała. Z rur przymocowanych do wysokiego sufitu zwisały koszyki pełne kwiatów i paproci wszelkich gatunków. Poniżej, na długich drewnianych stołach ustawionych wzdłuż ścian i pośrodku, stały doniczki i skrzynki. Macy wędrowała wąskimi przejściami, podziwiając to bogactwo. Warzywa. Zioła. Paprocie. Winorośl. Każde na innym etapie rozwoju.

- Zdumiewające - powiedziała, a potem roześmiała się i radośnie zaklaskała w ręce. - Wprost oszałamiające. Jak się panu udaje dbać o to wszystko samemu?

Wzruszył ramionami.

- Po prostu robię, co trzeba. Skleciłem sobie system podlewania i nawożenia. Rośliny mają wszystko, czego potrzebują.

Już chciała mu powiedzieć, że zaimponował jej swoją pomysłowością, ale nagle się roześmiała.

- Nawet nie wiem, jak się pan nazywa. - Podała mu rękę. - Jestem Macy Keller.

Patrzyła, jak powoli, z wahaniem, wyciągnął do niej rękę, ale najpierw otarł ją o dżinsy.

- John. John Sullivan.

Późnym popołudniem Macy odpoczywała na leżaku przed swoją przyczepą. Na kolanach trzymała telefon. Nie mogła się już doczekać, żeby opowiedzieć Rory'emu o spotkaniu z Johnem Sullivanem i o tym, że po zwiedzeniu jego szklarni była coraz bardziej zdecydowana otworzyć firmę w Tanner's Crossing. Chętnie zapytałaby Johna, czy nie zechciałby u niej pracować. Znakomicie się znał na uprawie roślin i na pewno wiele mogłaby się od niego nauczyć.

Wreszcie telefon zadzwonił.

- Cześć, Macy. Tu Rory.

Zrobiło jej się ciepło na sercu.

- Po głosie poznaję, że jesteś wykończony - powiedziała.

- Rzeczywiście. Mamy tu prawdziwy cyrk. Całe miasto stoi pod wodą. Widziałem nawet ludzi w łódkach.

- Coś podobnego! - wykrzyknęła ze śmiechem. - Rory... - zaczęła, nie mogąc już dłużej czekać. - Dziś po-

znałam kogoś zupełnie niezwykłego. Johna Sullivana. On...

- Przepraszam, że ci przerywam, ale czy moglibyśmy porozmawiać o tym innym razem? Stoję tu po kolana w błocie.

Jej podniecenie opadło.

- Tak, oczywiście. Jasne. Kiedy wracasz?

- Właśnie to chciałem ci powiedzieć. Na razie muszę tu zostać. Jeszcze ciągle wypompowujemy wodę z budynku, a do tego wszyscy dekarze są już zajęci. Zadzwoń jutro. Może wtedy będę już coś wiedział.

Usiłowała nie pokazać po sobie rozczarowania.

- Postaraj się nie zamoczyć za bardzo.

- Dobrze - obiecał.

- Rory?

- Tak?

- Ja... - Zagryzła usta, zanim wymknęły jej się słowa: „Kocham cię”. Zamiast tego powiedziała tylko: - Uważaj na siebie.

- Ty też - odparł i rozłączył się.

Macy siedziała przy stole i pracowała nad listą nazwisk mężczyzn, których Rory rozpoznał na zdjęciach od Sheili. Usłyszawszy pukanie do drzwi, zdziwiła się. Nikogo się nie spodziewała.

Gdy otworzyła, na progu stała Elizabeth Tanner.

- O, cześć - powiedziała zdumiona.

- Przyszłam nie w porę? - spytała niespokojnie Elizabeth. - Mogę wrócić później, jeśli wolisz.

Macy szeroko otworzyła drzwi.

- Ależ nie. - Pociągnęła gościa do środka. - Wprost przeciwnie. Może w ogóle cię już stąd nie wypuszczę. Odkąd Rory wyjechał, zanudziłam się już prawie na śmierć.

- Rory wyjechał?

- Jest w Houston. Mieli tam powódź i zawalił się dach jego sklepu. Mówi, że to prawdziwy kataklizm.

- Och. Może trzeba mu pomóc? Woodrow na pewno chętnie by do niego pojechał.

- Nie wiem, czy potrzebuje pomocy. Ale powiem mu, kiedy zadzwoni.

Uświadamiając sobie, że obie ciągle jeszcze stoją, Macy odsunęła zdjęcia na koniec kanapy.

- Siadaj. I przepraszam za bałagan, ale chwilowo mam małutkie mieszkanko.

Elizabeth rozejrzała się i usiadła.

- Bardzo tu przytulnie. - Serdecznie poklepała Macy po ręce. - Słuchaj. Przyszłam, żeby ci powiedzieć, że dziś, będąc w klinice, wykonałam małą detektywistyczną robotkę. I proszę, nie rób sobie nadziei - dodała szybko. - Bo nie wykryłam, kim jest twój ojciec. Ale zajrzałam do archiwum.

- I? - ponagliła ją Macy.

- Dowiedziałam się tylko, że twoja matka rzeczywiście była w ciąży, gdy wyjeżdżała z Tanner's Crossing. Niestety, w aktach nie figuruje nazwisko ojca.

Macy z trudem ukryła rozczarowanie.

- W każdym razie dziękuję, że zajrzałeś do dokumentów.

Elizabeth objęła ją i przytuliła.

- Chciałam pomóc. Rozumiem, jakie to musi być frustrujące, kiedy ciągle natykasz się na ślepe zaułki.

- Tu właściwie też nic nie znalazłam - powiedziała Macy, pokazując zdjęcia.

- Czy to te, które dostałaś od przyjaciółki swojej matki?

- Tak. Zrobiłam listę mężczyzn, których Rory rozpoznał, a teraz sprawdzam, czy figurują w książce telefonicznej.

- Zamierzasz dzwonić do każdego z nich?

Macy pokręciła głową.

- Nie. Chociaż to właśnie planowałam, gdy zaczynałam sporządzać listę. Ale potem pomyślałam o żonach tych ludzi, ich rodzinach. Mogłabym wyrządzić im wielką krzywdę, wpytując o zdarzenia z przeszłości.

- Tak, chyba masz rację - przyznała Elizabeth. Wzięła zdjęcie ze stosu. - Mogę?

- Jasne.

Elizabeth spojrzała na zdjęcie i roześmiała się.

- Och, co za ubrania!

Macy zajrzała jej przez ramię.

- Rzeczywiście, komiczne. A najdziwniejsze jest to, że ta moda powraca.

- Może niektórym się podoba. - Elizabeth wzruszyła ramionami. - Ja na pewno nie włożyłabym tak krótkiej spódniczki. - Odłożyła zdjęcie i wzięła następne. - Spójrz - pokazała mężczyznę stojącego z boku. - Przypomina mi Whita.

- Właściwie nie pamiętam, jak on wygląda. Widziałam go tylko raz - powiedziała Macy.

- Nie chodzi mi o wygląd. To sposób, w jaki stoi, w oddaleniu od reszty, i to, jak patrzy. Jest z tymi ludźmi, ale nie należy do ich grona. Whit jest taki sam.

- Rory mówił to samo.

- Co mówił?

Macy szybko spojrzała w kierunku wejścia, a potem skoczyła do drzwi. Stał tam Rory. Ze śmiechem porwał ją w ramiona i pocałował.

Elizabeth cicho chrząknęła.

- Witaj, siostrzyczko. Zaraz do ciebie przyjdę. - I znów poświęcił całą uwagę Macy.

Macy ze śmiechem go odepchnęła.

- Przestań. Elizabeth będzie się czuła skrepowana. I dlaczego nie zadzwoniłeś, że wracasz? - gderwała. - Przygotowałam kolację.

Stawiając ją na nogi, zdjął kapelusz i przejechał ręką po włosach.

- Chciałem ci zrobić niespodziankę.

- No i zrobiłeś.

- Jadę do domu - przerwała im Elizabeth. - A wy dwoje nie róbcie nic, czego ja bym nie zrobiła - pouczyła ich surowo, pomachała na pożegnanie i wyszła.

Macy zarzuciła Rory'emu ręce na szyję.

- Tak się cieszę, że wróciłeś. Okropnie się bez ciebie nudziłam.

Biorąc ją w ramiona, podszedł do łóżka.

- No więc tak się złożyło, że mam lekarstwo na nudę.

- A jakie?

- Rozbierz się, to ci pokażę.

Macy usiadła ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, naprzeciwko Rory'ego. Między nimi, na poduszce, rozłożyła talerzyki z krakersami i serem.

- Ten człowiek jest genialny - mówiła z zachwytem.  
- Opracował sobie system nawadniania i nawożenia. A od nawozu, który czerpie z kompostu, jego rośliny są zdrowe i piękne. I te jego ogrody! Są nieprawdopodobnie piękne, a wszystko robi sam. Nie ma żadnej pomocy.

- Jeszcze chwila, a powiesz mi, że potrafi chodzić po wodzie - roześmiał się Rory.

- Wcale by mnie to nie zdziwiło.

- Mówiłaś, że jak się nazywa?

- John Sullivan. Znasz go?

- Nie.

- Nie dziwię się. Twierdzi, że przyjeżdża do miasta tylko wtedy, jeżeli już naprawdę musi. To samotnik. Kiedy zobaczyłam go po raz pierwszy, stał pod drzewem wawrzynu z nożem w ręku.

- Z nożem? - To zaalarmowało Rory'ego.

- Małym - uściśliła, jakby wielkość noża miała jakieś znaczenie. - Kieszonkowym. Pomyślałam, że chce uszkodzić drzewo, więc pobiegłam go powstrzymać. Ale kiedy...

Rory zeskoczył z łóżka, posyłając talerz w sufit. Kawalki sera posypały się na podłogę.

- Zwariowałaś?! Mógł cię pokrajać na plasterki!

Popatrzyła na niego ze złością i zaczęła zbierać ser.

- To nie był duży nóż. A John nie zamierzał pokrajać mnie na plasterki. Po prostu zobaczył w pniu otworki po szkodnikach.

- Skąd wiesz, co chciał zrobić tym nożem?

- Stąd, że też zobaczyłam te otworki. I naprawdę jestem za to na siebie zła. Kupiłam drzewa w szkółce Arnolda i jestem pewna, że nie były wtedy zakażone. Powiedziałam to Johnowi, a on mi dał do zrozumienia, że Arnold nie jest uczciwy, bo bardziej interesuje go zysk niż jakość roślin, jakie sprzedaje. Wspomniałam też Johnowi, że myślę o otworzeniu tu własnej szkółki, bo chciałabym go zatrudnić. Tak dobrze umie się obchodzić z roślinami i do tego...

Rory uniósł rękę, żeby powstrzymać ten potok słów. Myślał tylko o tym, że gdy Macy zobaczyła Johna, miał w ręku nóż.

- Hej, zaczekaj. Nie proponuj facetowi pracy. Przecież nic o nim nie wiesz. Może być prawdziwym wariatem.

- Nie jest - oburzyła się. - Nawet gdy przyłapałam go, jak przygląda się moim piersiom...

Rory z zaciśniętymi pięściami jeszcze raz poderwał się z łóżka.

- Co robił?

- Uspokój się. On nie patrzył na moje piersi. Tylko tak mi się w pierwszej chwili wydało. Podziwiał mój medalionik.

- Jasne - parsknął Rory.

- Tak było - upierała się. - I był zażenowany, gdy myślałam, że zerka na mój dekolt.

- Nie życzę sobie, żebyś więcej do niego jeździła.

- Wybacz, ale nie będziesz mi dyktował, co mam robić - oburzyła się.



Uświadamiając sobie, że źle pograł, wziął ją za rękę i przyciągnął do siebie.

- Nie mówię ci, co masz robić - powiedział cierpliwie.

- Dla mnie brzmiało to właśnie tak - odparła ostro.

- Ja po prostu martwię się o ciebie - wyjaśnił. Wziął ją pod brodę i zmusił do spojrzenia sobie w oczy. - Nic nie wiesz o tym facecie. Ja też nie, ale zamierzam o niego popytać. - Objął ją za ramiona. - Jutro muszę wracać do Houston, ale przed wyjazdem pójde do Maw Parker. Jeżeli ona powie, że facet jest w porządku, obiecuję, że nie sprzeciwię się ani słowem, jeżeli będziesz chciała do niego jeździć. - Znow przytrzymał jej twarz tak, by patrzyła mu w oczy. - Macy, nie usiłuję cię kontrolować - powiedział miękko. - Po prostu chcę, żebyś była bezpieczna. Czy na to możesz się zgodzić?

Macy jeszcze chwilę się dąsała.

- Tak - mruknęła w końcu.

- Maw, to jest właśnie Macy Keller.

- Przyjechałaś znaleźć swojego tatę, prawda? Rory opowiadał mi o tobie.

- Tak, proszę pani.

- Udało się?

- Nie. Jeszcze nie.

- Słuchaj, Maw - przerwał im Rory, chcąc jak najszybciej przejść do powodu swojej wizyty. - Trochę mi się spieszy, ale mam nadzieję, że mogłabyś nam pomóc, udzielając kilku informacji.

- A więc przyszedłeś do właściwej osoby - powiedział-

ła z dumą Maw. - Jeżeli ja czegoś nie wiem, to znaczy, że nikt nie wie.

- Tak jest, proszę pani - potwierdził Rory ze śmiechem. - Właśnie dlatego tu jestem. - Poważniejąc, przyciągnął Macy do siebie. - Wczoraj Macy poznała pewnego mężczyznę. Johna Sullivana. Wiesz coś o nim?

Maw klasnęła w ręce.

- Znam go. Duch. Tak wszyscy tu go nazywają.

- Duch? - zdziwił się Rory. To przezwisko mu się nie spodobało. - Dlaczego?

- Bo jest dziwny.

Rory spojrzał znacząco na Macy, jakby chciał jej powiedzieć: „A nie mówiłem?”.

- Tak właśnie przeczuwałem. Macy opowiadała, że kiedy po raz pierwszy go zobaczyła, miał w ręku nóż. Twierdził, że sprawdza, czy w drzewie nie ma szkodników.

- I pewnie tak było - odparła Maw, wzruszając ramionami. - Duch wie wszystko o roślinach. Spędza całe życie w swoich szklarniach. Ludzie mówią, że nawet z nimi rozmawia.

- Ja też mówię do roślin - wtrąciła się Macy i spojrzała wyzywająco na Rory'ego. - Czy przez to jestem wariatką?

Wściekły, podjął wypytywanie.

- Maw, Macy pojechała do niego obejrzeć szklarnie. A teraz znów chce tam jechać, podczas gdy ja uważam, że nie powinna. Ten facet może okazać się niebezpieczny.

- Duch niebezpieczny? - zaśmiała się Maw. - Ten

człowiek pewnie nosi żałobę po każdym robaku, którego musi zabić. Duch jest dziwny, ale na pewno nie niebezpieczny.

Macy szturchnęła Rory'ego łokciem w żebra.

- Widzisz? - powiedziała z zadowoleniem. - Mówiłam ci, że John jest w porządku.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Macy nie mogła się już doczekać, kiedy będzie mogła znów wybrać się do Johna. Gdy tylko Rory ruszył do Houston, natychmiast pojechała na farmę.

- John! - zawołała, wchodząc do szklarni. Usłyszała szcęk metalu, jakby coś spadło, i po krótkiej chwili John pojawił się w przejściu.

Macy uniosła w powitaniu rękę.

- Nie chciałam cię wystraszyć - tłumaczyła się. - I przepraszam, że tak wpadłam bez zapowiedzi. Ale wszystko, co wczoraj mi pokazałeś, było nadzwyczajne. Chciałabym zobaczyć też twoją drugą szklarnię, jeżeli nie masz nic przeciwko temu.

- Nie ma na co specjalnie patrzeć - mruknął John, patrząc w ziemię. - Po prostu rośliny.

- Dla niektórych to mogą być po prostu rośliny. Ale ja potrafię rozpoznać wysoką jakość.

John w zakłopotaniu skinął głową i poszedł do tylnych drzwi.

- W drugiej szklarni trzymam rośliny tropikalne. Jest ciepłej. Więcej wilgoci w powietrzu.

Następną godzinę Macy spędziła słuchając fascynują-

cych opowieści o rzadkich gatunkach roślin. Gdy skończyli obchód, absolutnie nie chciała wracać do domu.

- Może mogłabym w czymś pomóc? - spytała i zaczerwieniła się. - Wiem, że to zarozumiałość z mojej strony. Ale naprawdę brak mi pracy przy roślinach, a w tej chwili nie mam nic do roboty.

John przez chwilę skrobał ziemię butem. Wydawało się, że nie jest zadowolony, ale w końcu skinął głową.

- Może mogłabyś wyleść w ogrodzie przed domem. Właśnie tym miałem się zaraz zająć.

Chociaż pielenie jest wyjątkowo nudnym zajęciem, które na dodatek nie wymaga myślenia, Macy zgodziłaby się na wszystko, byle tylko nie siedzieć samotnie w przyczepie.

Później, wieczorem, leżała na swoim łóżku i sprawdzała w książce telefonicznej nazwiska mężczyzn, których Rory rozpoznał na zdjęciach.

Po jakimś czasie, gdy oczy już ją piekły od małego druku, odłożyła notes i książkę, żeby odpocząć. Spojrzała na zegarek. Było już po dziesiątej. Rory powinien był dawno zadzwonić. Chwilę się wahała, a potem sięgnęła po telefon. Wołała dłużej nie czekać. Była zmęczona po całym dniu pracy w ogrodzie Johna i chciała iść spać.

Oparła się wygodnie na poduszce, wystukała numer. Po czterech sygnałach odezwała się automatyczna sekretarka. „Cześć, Rory - powiedziała. To ja. Jeżeli jeszcze dziś odsłuchasz moją wiadomość, nie oddzwaniaj. Idę do łóżka”. Ziewnęła i dodała ze znużeniem: „Och, tak mi się chce

spać. Pracowałam z Johnem - Duchem, jak go nazywasz - i jestem wykończona. Jutro też jadę do niego, ale będę miała przy sobie komórkę, więc zadzwoń, jeśli będziesz miał okazję. Do zobaczenia".

Skończywszy nagrywać wiadomość, ubiła poduszkę i położyła się. Z przyjemnością rozpamiętywała dzisiaj dzień, pracę u Johna. Tylko przebywanie z Rorym sprawiłoby, że dzień byłby jeszcze lepszy. Tęskniła za nim. Nie było go dopiero od przedwczoraj, a już go jej brakowało. Chciała z nim rozmawiać, chciała, by był przy niej. Modliła się, by on pragnął tego samego.

Rory wrzucił do ust ostatni kawałek hamburgera, wyłączył silnik i poszedł do domu. Jadanie w locie nie było jego zwyczajem, ale ten dzień okazał się tak szalony, że nie miał innego wyjścia.

Teraz pędził po schodach, żeby jak najszybciej zadzwonić do Macy. Czuł się okropnie, że nie zdążył do niej zatelefonować przez cały dzień, ale po prostu nie miał kiedy.

Nieprawda. Zawsze znalazłby na to chwilkę. Ale chciał rozmawiać z nią spokojnie, chciał słyszeć jej głos z łóżka. A już najbardziej chciał leżeć z nią w jej łóżku, zamiast tylko słyszeć płynący stamtąd głos.

Wsadził klucz do zamka i zastygł. Po raz pierwszy uświadomił sobie, jak bardzo mu zależy na Macy. Bardziej niż na kimkolwiek przez całe życie. Czekał, aż ogarnie go panika, chęć ucieczki w przeciwnym kierunku. Ale nic takiego się nie stało. Nadal chciał jedynie porozmawiać z Macy.

- Cześć, Rory.

Zaskoczony, obejrzał się. To była Andrea, sąsiadka, z którą miał przez pewien czas godny pożałowania romans. Jej widok wcale go nie ucieszył.

- Cześć. Co słyszeć?

- Mam kłopot. Drzwi mi się zatrzasnęły, a klucze zostały w mieszkaniu. - Wygięła usta w podkówkę i przeciągnęła palcem po jego rękę. - Miałam nadzieję, że pozwolisz mi poczekać do rana u ciebie.

Kłamała, i Rory dobrze o tym wiedział. To był po prostu podstęp.

- Wezwij ślusarza - poradził, odsuwając się.

- Nie mogę. Komórka też została w mieszkaniu.

Powściągając westchnienie, Rory otworzył drzwi.

- Zadzwoń ode mnie, ale pospiesz się. Chcę wziąć prysznic.

Zadowolona, Andrea wtargnęła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi.

- Telefon jest tam - wskazał, zrzucając buty.

Ale Andrea, zamiast podejść do stołu, ruszyła ku niemu i zarzuciła mu rękę na szyję.

- Wiem, gdzie jest telefon - szepnęła, przytulając się.

- Wiem też, gdzie jest twoje łóżko.

Rory ze złością zdjął jej rękę ze swojej szyi.

- Nie ma mowy. Mówiłem ci. To już skończone. - Jeszcze raz machnął ręką w kierunku telefonu. - Chciałaś zadzwonić.

Andrea parsknęła, podeszła do telefonu i przyłożyła słuchawkę do ucha.

- Nie ma sygnału.

Rory zaklął pod nosem, wyrwał komórkę z kieszeni, rzucił ją Andrei i ruszył do sypialni.

- Wychodząc, zamknij za sobą drzwi! - zawołał przez ramię.

Dla pewności, że Andrea nie dołączy do niego pod prysznicem, zamknął się na haczyk. Dziesięć minut później wyszedł z łazienki i szybko rozejrzał się po mieszkaniu. Na szczęście Andrei nie było. Wziął sobie piwo z lodówki i poszedł do bawialni po komórkę. Nie leżała nigdzie na widoku. Ze zmarszczonym czołem zastanawiał się, gdzie mogła ją rzucić. Zajrzał pod poduszki na kanapie, do wszystkich kątów. Telefonu nie było.

- Idiotka! - mruknął ze złością. - Chce, żebym po niego poszedł. Niedoczekanie!

Jednak bez telefonu nie mógł zadzwonić do Macy. Już wstawał, żeby wyjść na dwór, do automatu, ale po chwili z powrotem opadł na poduszkę. Do diabła! Nie pamiętał numeru Macy! Zapisał go sobie w pamięci komórki, ale co mu to teraz da!

Z westchnieniem ułożył się wygodnie. Rano zadzwoni do któregoś z braci i poprosi, by przekazał Macy, że on wróci do Tanner's Crossing najwcześniej pojutrze.

Pijąc rano kawę, Macy jeszcze raz przeglądała zdjęcia. Uśmiechnęła się, widząc mężczyznę, o którym Elizabeth powiedziała, że przypomina jej Whita. I tak rzeczywiście było. Stał poza grupą, z rękami w kieszeniach, jakby nie chciał dołączyć do znajomych. I chociaż wszyscy poza nim uśmiechali się do aparatu, on miał lekko zmarszczone czoło, jakby nie życzył sobie figurować na zdjęciu.



Przypomniała sobie, że obiecała Johnowi przyjechać do niego wcześniej i pomóc przy przesadzaniu róż. Nie może się spóźnić. Na pewno nie będzie na nią czekał z robotą.

Macy wbiła łopatę w ziemię i ze znużeniem przeciągnęła ręką po twarzy. Pracowali już od dwóch godzin. Potrzebowała chwili odpoczynku, chciała też napić się wody. Odwróciła się do Johna, by spytać, czy może wejść do domu, ale słowa zamarły jej w gardle. Stał bokiem do niej, zapatrzonego w jakieś odległe miejsce, czapkę miał głęboko nasuniętą na czoło, ręce w kieszeniach. Wyglądał tak samo jak na zdjęciu.

Pomyślała o tym, jak John kocha rośliny. Zupełnie tak samo jak ona. Ale nie. To nie może być jej ojciec. Niemożliwe. Jej matka nigdy by nie zainteresowała się takim mężczyzną, zwyczajnym, nieciekawym, biednym.

Zaraz jednak przypomniała sobie, jak patrzył na jej naszyjnik. Jaką miał wtedy minę. Zacisnęła palce na medalionie. To niemożliwe, powtórzyła w myślach i zmusiła się, by na niego jeszcze raz spojrzeć. Do oczu napłynęły jej łzy. Pytanie nie chciało przejść przez gardło.

- John?

Gdy spojrzał na nią, zobaczyła, że jego oczy mają ten sam kolor bursztynu co jej własne.

- Znałeś Darię Jean Keller?

Przez chwilę, która wydawała się długa jak sama wieczność, stał nieruchomo. W końcu odwrócił wzrok. Ściągnął czapkę jeszcze niżej na czoło.

- Może.

Serce na moment przestało jej bić.

- Była moją matką.
- Tak myślałem.

Macy czekała, by powiedział coś więcej. Gdy się nie odezwał, rzuciła łopatę i podeszła do niego. Nogi miała jak z drewna, każdy krok wydawał jej się nieprawdopodobnie długi.

- Jesteś moim ojcem?

John wziął na łopatę żwir i rzucił go na stertę.

- Nie.

- Spójrz na mnie! - krzyknęła zdesperowana. - Spójrz mi w oczy i powiedz, że nie jesteś moim ojcem!

Wbił łopatę w ziemię, a potem powoli odwrócił się twarzą do niej. Jego spojrzenie było puste, obojętne.

- Nie jestem twoim ojcem.

Kłamał. Wiedziała, że kłamie. Wszystko w niej zawrzało ze złości i żalu. Ale nie będzie płakać. Nie pozwoli, by zobaczył jej łzy.

Złapała medalionik i zerwała go z szyi. Patrząc mu w oczy, rzuciła go pod nogi i popędziła do dżipa.

W połowie drogi do domu w końcu nie wytrzymała. Zjechała na pobocze i wybuchnęła rozpaczliwym szlochem. Płakała, aż nie została jej już ani jedna łza, a w sercu czuła dojmującą pustkę.

Rory. Potrzebowała go. Chciała znaleźć się w jego opiekuńczych ramionach. Chciała poczuć jego siłę.

Na oślep poszukała w torebce telefonu i wybrała numer.

- Halo - odezwała się jakaś kobieta.

Zaskoczona, przez chwilę nie mogła wydobyć z siebie głosu.

- Przepraszam - powiedziała w końcu. - Pewnie się pomyliłam, wybierając numer.

Już chciała dzwonić jeszcze raz, ale kobieta powiedziała:

- Chciała pani rozmawiać z Rorym?

- Tak.

- Niestety - powiedziała kobieta - on teraz... nie może podejść. Czy mam przekazać jakąś wiadomość?

Macy z trudem wydukała, że nie, a potem bezsilnie wypuściła telefon z ręki. Usiłowała wynaleźć logiczne wyjaśnienie powodu, dla którego telefon Rory'ego odbiera jakaś kobieta. Pewnie to ktoś, kto pracuje w jego sklepie, mówiła sobie.

Ale senny głos tej kobiety zmusił Macy, by przyjęła do wiadomości przykrą prawdę: Rory jest jedynym mężczyzną w jej życiu, ale to nie oznacza jeszcze, że i ona jest w jego życiu jedyną kobietą.

Mieszkając w przyczepie, łatwo jest wyjechać z miasta. Macy zebrała się w niecałe pół godziny. Nie było nikogo, z kim chciałaby się pożegnać, nikogo, kto życzyłby jej dobrej podróży. Wyjechała z Tanner's Crossing tak samo, jak tu przyjechała. Sama.

Rory zajechał na parking. Już stawał, ale nie mogąc uwierzyć własnym oczom, objechał go jeszcze raz. Jednak gdy spojrział po raz drugi, nadal nie zobaczył przyczepy Macy.

Zaskoczony, zatrzymał się na miejscu, które do tej pory zajmowała. Odjechała, powiedział sobie. Ale dokąd?

W nadziei, że Woodrow będzie wiedział, ponieważ to właśnie jego rano prosił o przekazanie wiadomości, sięgnął do kieszeni po swój aparat komórkowy i zaklął, gdy sobie przypomniał, że zabrała go Andrea. Wyskoczył z furgonetki i pobiegł do sąsiedniej przyczepy. Zapukał, w drzwiach pojawiła się kobieta.

- Słucham? - spytała podejrzliwie.

- Czy mógłbym od pani zatelefonować?

Popatrzyła nad jego ramieniem na furgonetkę.

- Jeśli szuka pan kobiety, która tu parkowała przyczepę, to ona odjechała.

- Tak, proszę pani - odparł Rory, z trudem hamując zniecierpliwienie. - Ale chciałbym zadzwonić do brata i spytać, czy wie, gdzie ona się wybrała.

- Czy pana brat to potężnie zbudowany mężczyzna?

- Tak.

- Wątpię, by wiedział. Był tu dwie godziny temu i też jej szukał. Powiedziałam mu to samo co panu. Ona wyjechała.

- Dziękuję - mruknął Rory i, przeciągając w desperacji ręką po włosach, poszedł do pikapa.

Postanowił pojechać do sklepu Maw Parker. Maw raczej nie będzie wiedziała, gdzie pojechała Macy, ale wiedziała za to, gdzie mieszka John Sullivan. A jeżeli w ogóle ktoś się orientuje, co zamierzała zrobić Macy, na pewno będzie to Duch.

- Sullivan! - zawołał Rory, wyskakując z pikapa. - Sullivan! - krzyknął niecierpliwie jeszcze raz.

Gdy nie było odpowiedzi, stanął i rozejrzał się. Zo-

baczył świeżo usypany kopczyk żwiru przy niskim płotku i poszedł tam. Obok porzuconej łopaty coś metalicznie błyszczało. Przepełniony strachem, rzucił się na kolana.

- O Boże, nie - jęknął, podnosząc zerwany łańcuszek z medalionikiem.

- Co pan tu robi? To prywatna posiadłość.

Rory zerwał się na nogi, w pięści zaciskał łańcuszek.

- Gdzie ona jest?! Co zrobiłeś Macy?

- Odjechała stąd. Wiele godzin temu.

- Kłamiesz! - wrzasnął Rory, ruszając na niego. - Co jej zrobiłeś?

- Nic. Już ci mówiłem. Odjechała. Nie dotknąłem jej.

Jeżeli nawet John bał się Rory'ego, nie dał tego po sobie poznać. Stał wyprostowany i czekał. Rory walnął go pięścią tak mocno, że John cofnął się o dwa kroki. Wykorzystując, że John stracił równowagę, Rory skoczył na niego, zbił z nóg i jedną ręką przydusił mu gardło, a drugą zamachał mu przed oczami łańcuszkiem.

- Zostawiła to tutaj - wychrypiął John.

- Nie zrobiłaby tego umyślnie! - krzyknął Rory. - Zawsze to nosiła. Nigdy nie zdejmowała.

John zacisnął palce na ręce Rory'ego, usiłując się uwolnić.

- Zdenerwowała się, gdy nie chciałem przyznać, że jestem jej ojcem... - wyjąkał z trudem.

Rory zastygł, słysząc słowo: „ojcem”.

- Jesteś ojcem Macy? - spytał w oszołomieniu.

Johnowi oczy już wychodziły na wierzch, twarz miała czerwoną.

- Tak...

Rory postawił go na nogi.

- Zadałeś jej ból - powiedział. - Przez to, że nie chciałeś się przyznać do ojcostwa. - Ruszył do pikapa. - Macy teraz mnie potrzebuje. Wiem, że potrzebuje. A ja nie mam pojęcia, dokąd mogła pojechać.

- Nie zamierzałem zadawać jej bólu - odezwał się John.

Rory okręcił się na pięcie.

- Ale to właśnie zrobiłeś. Tak bardzo chciała znaleźć swojego ojca. A gdy go wreszcie znalazła, odepchnąłeś ją, tak samo jak jej matkę.

John pokręcił głową.

- Nie odepchnąłem Darli Jean. Kochałem ją. To ona mnie porzuciła. Wyjechała i nigdy już nie wróciła.

- Wiedziałeś, że spodziewała się dziecka, kiedy stąd wyjeżdżała?

John spojrzął gdzieś w bok.

- Wiedziałem - powiedział po dłuższej chwili. - Ale to mi nie przyniosło nic dobrego. Daria Jean nie chciała mnie za męża i z całą pewnością nie chciała, żeby się dowiedziano, że to ja jestem ojcem dziecka.

Cała złość opuściła Rory'ego, gdy usłyszał, z jaką rozpaczą John to mówi.

- Pojadę jej poszukać - oświadczył i odwrócił się.

- Zaczekaj.

Rory zatrzymał się.

- Kiedy ją znajdziesz - powiedział John i wskazał ręką łańcuszek - daj jej to. Powiedz, że chcę, żeby to zatrzymała. Należał do jej matki. Wiem, bo sam jej go dałem.

W życiu Rory'ego zdarzały się takie chwile, kiedy z całego serca pragnął nie być jednym z Tannerów. Ale dziś był zadowolony z władzy, jaką ma dzięki nazwisku. Mógł pociągnąć za sznurki i uzyskać to, czego innym by odmówiono.

Wyjaśnił szybko sytuację szeryfowi, a ten natychmiast rozesłał prośbę o odnalezienie i zatrzymanie przyczepy Macy.

Gdy nadeszła wiadomość, że widziano ją na parkingu przyczep na południe od Austin, szeryf przydzielił Rory'emu eskortę. Poprzedzany przez autostradowy patrol, Rory pędził tak, że droga zajęła mu dwa razy mniej czasu.

Gdy zatrzymał się obok przyczepy Macy, zapadł już zmierzch. Przyłożył palec do ronda kapelusza w podziękowaniu policjantom z patrolu i popędził do drzwi przyczepy.

- Macy! - ryknął, tłukąc pięścią w drzwi. - Otwieraj! To ja, Rory.

Nasłuchiwał, ale odpowiedzi nie było. Jeszcze raz walczył pięścią. Mocniej.

- Macy! - wrzasnął. - Otwórz albo wyłamie drzwi. Wybór należy do ciebie.

Drzwi otworzyły się tak gwałtownie, że uderzyły Rory'ego w głowę, strącając mu kapelusz. Oszołomiony uderzeniem, zachwiał się na nogach jak pijany.

- Czego chcesz?

Zamrugał, by odzyskać ostrość widzenia, zacisnął zęby i chwycił klamkę.

- Ciebie - powiedział ze złością, odepchnął ją z przej-

ścia i wparował do środka. - Co ty, u diabła, sobie wyobrażasz? Jak mogłaś wyjechać z miasta, nie mówiąc mi o tym?

Skrzyżowała ręce na piersi.

- Nie jesteś moim stróżem. A ja jestem dorosła. Przychodzę i odchodzę, kiedy zechcę.

- No więc może i nie jestem twoim stróżem, ale chyba mam prawo znać twoje plany. Na miłość boską, Macy! - krzyknął. - Czy ty wiesz, jak się wystraszyłem, widząc, że nie ma twojej przyczepy? I ile miałem kłopotu, żeby cię odnaleźć? - Wyrzucił ręce w górę. - Do diabła, mógłbym już siedzieć w więzieniu za morderstwo, a wszystko to byłoby tylko z twojej winy

- Z mojej?! - krzyknęła. - Nic ci nie zrobiłam.

- Właśnie - potwierdził ponuro. - Nawet nie byłaś na tyle uprzejma, żeby do mnie zadzwonić.

- Dzwoniłam! Jeśli nie wierzysz, spytaj swoją dziewczynę.

- Nie... - Rory urwał w pół słowa i ukrył twarz w rękach. - Andrea - mruknął. Wziął głęboki oddech. - Macy, nie mam swojego telefonu. Andrea go zabrała.

- To nie moja wina, że pożyczasz telefon swoim dziewczynom.

- Andrea nie jest moją dziewczyną. To sąsiadka z Houston. Zatrzasnęły jej się drzwi mieszkania i chciała ode mnie zadzwonić po ślusarza. Ale niestety linie były przebite, więc dałem jej moją komórkę.

- Bardzo szlachetnie z twojej strony. Telefony komórkowe nie są tanie.

Zdesperowany Rory wziął głęboki oddech.



- Nie dałem jej telefonu. Tylko pożyczyłem. Ale ona wyszła, kiedy byłem pod prysznicem, i zabrała go ze sobą.

- Prysznic? - powtórzyła Macy i zasłoniła rękami uszy. - Nie chcę nic więcej słyszeć. Idź sobie.

Rory podszedł do niej o krok bliżej.

- Nie wyjdę. W każdym razie nie bez ciebie. Rozmawiałem z Duchem.

Macy zgięła się wpół, jakby wymierzył jej cios prosto w splot słoneczny.

Rory uklęknął przed nią i położył jej rękę na policzku.

- Przyznał, że jest twoim ojcem. - Wyjął z kieszeni łańcuszek. - Prosił, żebym ci to dał. Powiedział, że podarował go twojej matce i chce, żebyś go zatrzymała.

Macy skrzywiła się jak do płaczu, opadła na kolana i ukryła twarz w rękach. Rory objął ją.

- Macy, musisz dać mu szansę - powiedział miękko.

- To nie on postanowił, że cię nie uzna. To twoja matka sobie tego nie życzyła.

- Skłamał! - krzyknęła. - Powiedział, że nie jest moim ojcem.

Rory mocniej ją objął i zaczął głaskać po włosach.

- Wiem, jak bardzo cię zranił. Ale to nie będzie łatwe. Ani dla ciebie, ani dla niego. Kiedy cię zobaczył, przeżył szok. Zorientował się w sytuacji o wiele wcześniej niż ty. To otworzyło stare rany, o których myślał, że dawno się zagoiły.

Macy ukryła twarz w zagłębieniu jego szyi.

- Nie wiem, co mam robić. Co powiedzieć.

- Nie musisz teraz nic robić - uspokajał ją. - Daj sobie

trochę czasu. Oboje tego potrzebujecie. - Wstał. - A kiedy już będziesz gotowa, żeby się z nim zobaczyć, nie zostaniesz z tym sama. Będę przy tobie.

W jej oczach pojawiły się łzy.

- Ty?

- Nigdy już nie będziesz musiała sama się z niczym mierzyć. Będę przy tobie zawsze. Macy, Kocham cię. Już dawno powinienem był ci to powiedzieć.

Przycisnęła rękę do drżących ust.

- Och, Rory... - szepnęła. - Nie myślałam, że mnie pokochasz. Sądziłam, że po prostu jestem jeszcze jedną kobietą w twoim życiu.

Powściągnął ciężkie westchnienie.

- Wiesz, ciężko pracowałem na moją reputację, ale wygląda na to, że jeszcze ciężiej będę musiał pracować na to, by ją naprawić.

Gdy tylko bez słowa na niego patrzyła, potrząsnął głową.

- Wiedz jedno - powiedział. - Od dziś jesteś jedyną kobietą w moim życiu. Zrozumiałaś?

- Tak - odpowiedziała przez łzy.

Wziął ją za rękę.

- Chciałbym wkrótce usłyszeć to słowo jeszcze raz. Powiedzmy, za tydzień?

Spojrzała na niego zaokrąglonymi ze zdziwienia oczami.

- Czy ty mi się oświadczasz?

- No... tak - powiedział i roześmiał się. - Chyba nie oczekiwałaś, że będę żył z tobą w grzechu?

- Chciałam się tylko upewnić.

Uklęknął przed nią.

- Macy Keller, czy uczynisz mi zaszczyt, wychodząc za mnie za mąż i przyjmując moje nazwisko?

Zagryzła usta, żeby powstrzymać łzy.

- Och, Rory. Przez całe życie chciałam nazywać się Tanner. - Opadła na kolana przed nim. - Ale jest o wiele lepiej otrzymać to nazwisko dzięki tobie. O wiele, wiele lepiej.

## EPILOG

Przed drzwiami domu Johna Rory uściśnął Macy.

- Na pewno nie chcesz, żebym z tobą poszedł? - zapytał niespokojnie.

Chociaż kusiło ją, by go o to poprosić, odmówiła.

- Nie. Muszę to załatwić sama.

Skinął głową ze zrozumieniem.

- Będę w furgonetce, gdybyś mnie potrzebowała.

Macy patrzyła za nim, dopóki nie wsiadł do samochodu, potem wzięła głęboki oddech i zapukała do drzwi. Otworzyły się natychmiast i już patrzyła w oczy o dokładnie takim samym odcieniu bursztynu, jak jej własne. Stała w milczeniu, nie wiedząc, co powiedzieć ani co zrobić.

John bez słowa odstaąpił na bok, by mogła wejść. Z lekko drżącymi kolanami weszła do małej bawialni i rozejrzała się. Meble były tak samo proste i skromne jak mężczyzna, który tu mieszkał, ale poczuła ciepło i spokój.

To dom jej ojca.

Łzy zakręciły jej się w oczach. Odwróciła się do Johna, rozkładając bezradnie ręce.

- Nie wiem, co powiedzieć.

Opuścił głowę.

- Nie ma wiele do powiedzenia. - Zamilkł, jakby rozumiejąc, że to dziwne stwierdzenie. Przecież dzieliły ich

lata obcości. Lata, w ciągu których powinni byli zbierać wspomnienia, budować związek, a jednak stali tu oboje jak całkowicie obcy sobie ludzie.

- To nie było tak, że cię nie chciałem... - zaczął po woli. - Daria Jean... to ona nie chciała mieć ze mną nic wspólnego.

- Ale przecież była z tobą w ciąży. Musiałeś mieć z nią coś wspólnego.

John odwrócił się i wsadził ręce do kieszeni.

- No tak, jasne. Ale ja byłem tylko biednym farmerem. Nie takim mężczyzną, z jakim chciałyby się pokazywać, albo założyć rodzinę. Ona lubiła rzeczy. Rzeczy, których ja nigdy nie mógłbym jej dać. Kochałem ją całym sercem ale ona mnie nie kochała.

Macy usłyszała ból w jego głosie, i wstyd. A także skruchę. I właśnie ta skrucha spowodowała, że nagle opuścił ją cały żal, jaki do niego żywiła. Daria Jean skrzywdziła nie tylko ją. John też cierpiał.

Wyjęła z kieszeni łańcuszek.

- Myślę, że jednak cię kochała - powiedziała spokojnie i podeszła do niego.

John obejrzał się przez ramię.

- Po śmierci matki musiałam uporządkować jej rzeczy. Bardzo niewiele zachowałam dla siebie, bo miałyśmy zupełnie odmienny gust. Ale zatrzymałam jedną sztukę jej biżuterii. - Uniosła łańcuszek do góry. - To.

John patrzył na naszyjnik w milczeniu, tylko w twarzy drgał mu nerw. Macy wiedziała już, co powiedzieć, co powinna zrobić.

- Kochała cię - szepnęła. - Nigdy nie nosiła tego me-

dalionika, ale przechowała go przez te wszystkie lata. Stąd wiem, że zależało jej na tobie.

John uniósł głowę, by na nią spojrzeć, a to, co zobaczyła w jego oczach, przepełniło ją nadzieją. Włożyła mu łańcuszek do ręki i zacisnęła na nim jego palce.

- Zachowaj to jako pamiątkę po Darli Jean. Myślę, że byłaby zadowolona.

John otworzył rękę, by przyjrzeć się łańcuszkowi. Po policzku spłynęła mu jedna wielka łza i spadła na serdu-szko ze złota.

- Rory mówił, że cię zraniłem, bo nie chciałem przyznać, że jestem twoim ojcem. - Spojrzał Macy w oczy. - Nie chciałem zadawać ci bólu. Po prostu myślałem, że będziesz się wstydziła takiego ojca. Że nie będziesz chciała, by ludzie w mieście o tym wiedzieli.

- Och, nie! - wykrzyknęła Macy z głębi serca. - Nie wstydzę się. Jestem dumna, że jesteś moim ojcem. - Wzięła głęboki oddech, rozpaczliwie pragnąc dotknąć Johna, a jeszcze bardziej pragnąc, by on ją objął. - Jeżeli się zgodzisz, chciałabym cię uściskać.

Zbladł, wyraźnie przerażony tym pomysłem. Macy ostrożnie podeszła bliżej i zarzuciła mu ręce na szyję. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem powoli ją objął. Czowała, jak drży, jak się waha. Ale wyczuwała także tęsknotę i wiedziała, że chociaż mają przed sobą długą drogę, zanim się poznają i nawiążą stosunki, jakie normalnie łączą ojca z córką, w końcu znalazła ojca, którego tak rozpaczliwie pragnęła mieć.

- No i jak? Wszystko w porządku?

Macy obejrzała się. Rory stał w drzwiach, na jego twa-

rzy malował się niepokój. Z uśmiechem odsunęła się od Johna i wyciągnęła do niego rękę.

- Wszystko w porządku - zapewniła.

Z westchnieniem ulgi Rory wszedł do pokoju i chwycił jej wyciągniętą rękę.

- Więc co postanowiliście?

Macy spojrzała z nadzieją na Johna.

- Jeszcze nic nie postanowiliśmy. Ale jeżeli John się zgodzi, znalazłam mężczyznę, któremu mnie odda.

John zbladł.

- Jak to: odda? - spytał.

Rory objął Macy.

- Właśnie. Macy i ja pobieramy się. Mam u siebie w sklepie westernowy strój. Byłby idealny dla ojca panny młodej.

Pod Johnem ugięły się kolana i osunął się na kanapę.

- Ojciec panny młodej - powtórzył w oszołomieniu.

- Coś podobnego. Ja będę ojcem panny młodej!

- Lepiej przyzwyczaj się do tej myśli, i to szybko - poradził mu Rory i uśmiechnął się do Macy. - Bo wkrótce chcemy dać ci jeszcze jeden tytuł. Dziadka.

- Nie jestem w ciąży! - wykrzyknęła Macy z obrazą.

Rory uśmiechnął się dumnie, przyciągnął ją do siebie i ruszył do drzwi.

- Jeszcze nie. Ale jeżeli ja mam tu coś do powiedzenia, wkrótce będziesz.